odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 22 listopada 1959 r.

Cena 1 zł Nr 47 (91)

ANDRZEJ MAZUR

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZTERY WIELKIE SŁOWA I HASŁO

Co robi nauczyciel wiejski?

1. Organizuje akademie na Święto Kobiet.
2. Organizuje akademie na Dzień Matki.
3. Organizuje akademie na Dzień Dziecka.
4. Organizuje akademie na Dzień Lasu.
5. Prowadzi drużynę harcerską.
6. Prowadzi Koło ZMW.
7. Prowadzi Szkołę Przysposobienia Rolniczego lub Uniwersytet Rolniczy.
8. Organizuje kółka artystyczno-amatorskie.
9. Jest radnym, lub udziela się społecznie w organach Rady Narodowej.
10. Bierze udział w pracach Kółka Rolniczego.
11. Włącza i wyłącza światło uliczne we wsiach zelektryfikowanych.
12. Dokonuje okolicznościowych spisów rolniczych.
13. Bierze udział w zbiórkach na Szkoły Tysiąclecia.

Aha! Bylibyśmy zapomnieli. Poza tym wszystkim nauczyciel wiejski UCZY JESZCZE W SZKOLE.

PIERWSZE WIELKIE SŁOWO: OŚWIATA DLA LUDU, CZYLI DZIECI TRUDNYCH RODZICÓW.

Uczy w szkole. Przecież to jest — zwyczajnie mowiąc — podstawa jego egzystencji. Nie, nie kpimy. Ale wielu ludzi zdaje się tego nie rozumieć. Przede wszystkim — i to jest najsmutniejsze — środowisko, w w którym on pracuje Już nie raz zdarzało się nam spotkać z opinią, że to co robi nauczyciel, to nie jest praca. „Albo to oni pracują?... — mówią chłopi — pogadają trochę w szkole, pokrzyczą na dzieci i to ma być praca?"

Chłopi na pierwszym miejscu stawiają własną pracę, na drugim pracę „gospodarską" swoich dzieci, potem długo długo nic i dopiero szkoła. Trudni rodzice...

Właśnie końca dobiegły wykopki. W jednej ze szkół pokazano nam taką kartkę: „W dniu 30. IX. 59 r. pozostawiłam syna w domu do pomocy przy kopaniu kar-

(Dokończenie na str. 5)

z cyklu: WOJEWÓDZTWO NAJBLIŻSZE

1

ANDRZEJ BRYCHT

Bolesny krzyk średniowiecza

Ho, ho, dużo bym mogła opowiedzieć. Ale po co? żebyście w gazecie opisali, sławy mi narobili...

„...Nie było innej rady. Tylko żyłę spod piersi ciągnąć. Wyciągnąć jak się da daleko, nawet pół metra, i upalić. Dobrze upalić, żeby stwardniała na końcu, potem piersi gliną obłożyć, ale gliną nie zwyczajną, tylko garncarską, z krwią żaby i i siatką pająka. Po dwóch dniach krew się zrobi gęsta, woda z niej odparuje, i wtenczas trzeba dawać dużo krwi krowiej do picia, ze spirytusem, żeby ta krew dostała temperatury jak się należy u żywego człowieka.

Jak się wszystko zrobi jak potrzeba, to będzie dobrze. Zgadzasz się, Zającowa? Bo inaczej to umrzesz..."

Zającowa się zgodziła, bo co miała robić? Była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy chwyciły ją bóle, a ponieważ rodziła już nieraz, wiedziała, że to rozwiązanie.

Przyszła babka, ale babka to za mało, babka jest do przyjęcia dziecka, do zamówienia zębów, albo głowy, ale babka nie jest do poważnych chorób. A kto jest do poważnych chorób?

Do poważnych chorób jest sołtys.

Więc to sołtys powiedział o przypalaniu krwi, bo babka stwierdziła, że w Zającowej czai się coś więcej od porodu i sołtysa wezwała. A sołtys jest nieomylny.

„Dobra byłaś na tamte troje dzieci, ale przy tym, przy czwartym, już ci organizm nawala. Tamte dzieci z ciebie wszystką krew wyciągnęły, i zostawiły wodę. Zobacz, ile wody w tej krwi, jaka biała. Długo nie pożyjesz. Zgódź się..."

Przywołał sołtys Zającowej męża. Powiada:

„Przyjrzyj się, Józek, jak ci kobita zmarniała. Ile wody ma we krwi. Zemrze ci. Ale ja ją mogę wyleczyć. Świętucha dasz?"

Pomyślał Zając Józef, w głowę się podrapał, posłuchał jak świniak w chlewiku ryjem mlaska, żal mu się świni zrobiło. Ale żony gorzej żal.

„Zgódź się Cesia" — powiada, bo jak Zającowa o świniaku usłyszała, to zgodzić nie chciała.

„Zobaczysz, Józek" — krzyczy — „że ja zdrowa będę. A świni szkoda!".

Przekonali ją wreszcie. Sołtys świecę zapaloną przyniósł, nożyce do strzyżenia baranów i nóż do skóry. Gliny naszykował, bo glinę zawsze u siebie trzymał, z siatką pająka.

Żab ze studni trza było łapać, bo w studni najwięcej. Ciągnęli wodę, ciągnęli, a w każdym wiadrze to zdechła, to żywa żaba.

Nałapali wreszcie, i się zaczęło.

2

Co?

Upalanie krwi.

Gdzie?

We wsi Wolica Królewska, powiat Brzeziny, województwo łódzkie.

Kiedy?

Otóż właśnie. Kiedy?

Wyleciał akurat do księżyca jeden z kolejnych sztucznych satelitów naszej planety. Był wczesny zmierzch u brzegu jesieni. Cisza panowała w przyrodzie. Cisza tak wielka, że słyszało się stuk kół przebiegających stąd o dziesięć kilometrów przez stację Koluszki elektrycznych pociągów.

Eleganccy mieszczanie warszawsko-łódzcy nie przypuszczali nawet, że stuk ich pociągu biegnie przez wieki aż do średniowiecza. Oni oczywiście krzyku Zającowej nie słyszeli. A kiedy zaczęła krzyczeć, to już i pociągu we wsi słychać nie było.

Krzyczała!

Dokończenie na str. 3

PRZESŁUCHANIE TADEUSZA MARKOWSKIEGO

Przesłuchiwany Tadeusz Markowski *Zdjęcie: Z. Chyliński*

Rzecz dzieje się w sali wyłożonej korkami, wyposażonej w magnetofony i głośniki. Salę wypełniają przedstawiciele władz, towarzysze niedoli i przyjaciele ob (winionego) Tadeusza Markowskiego.

Podsądny skupił się w swojej charakterystycznej pozie (patrz zdjęcie). Za chwilę rozpocznie się przesłuchanie (czytaj na str. 7).

TERESA ZWIERZCHOWSKA

CZY MŁODZIEŻ WYMYKA NAM SIĘ Z RĄK?

To nie ja powiedziałam, cytuję tylko słowa młodej nauczycielki z wieruszowskiej 11-latki. Siedzimy w pokoju nauczycielskim. Dzwonek lekcyjny uciszył gwar na korytarzach. Pani Marczakowa zamyśliła się, próbuje sprecyzować na czym polega to „wymykanie się" i jakie są tego przyczyny. Pamięta przecież swoje szkolne lata. Wtedy człowiek był zapatrzony w swego szkolnego „pana" czy „panią". Nauczyciel stanowił wyrocznię we wszystkich sprawach, rozstrzygał problemy, kształtował poglądy, zaszczepiał idee. A dziś? Dziś młodzież idzie sama i stawia niekiedy nawet bierny opór wobec prób prowadzenia jej za rękę. Owszem, młodzi są nawet posłuszni i bardziej lub mniej chętnie odrabiają zadane im lekcje. A jednak „wymykają się" to fakt. Mniej bystry obserwator-nauczyciel stwierdzi może, że młodzież jest apatyczna, opieszała, że nie ma w niej głodu wiedzy i dlatego tak trudno wykrzesać z niej iskierkę zainteresowania wykładanymi przedmiotami. Jest w tym stwierdzeniu wiele łatwizny.

Pani Marczakowa nie należy do tej kategorii ludzi. Powiada: młodzież ma swoje zainteresowania, tylko że idą one zupełnie innymi torami niż by życzyli sobie tego nauczyciele. Ot np. taki przykład:

Z okazji otwarcia świetlicy szkolnej nauczyciele ułożyli listę czasopism, które należałoby zaprenumerować. Uczniowie klas starszych po obejrzeniu listy domagali się, by uzupełnić ją, dodać również „Przekrój", „Dookoła świata", „Kulisy", „Ekran" „Przegląd Kulturalny", „Życie Literackie" i tp. czasopisma, które zdaniem nauczycieli mogłyby okazać się zbyt trudną lub niewskazaną literaturą. Zresztą sami nauczyciele nie czytują wielu z wymienionych tu tytułów z braku czasu. A młodzież czyta nie pytając nas wcale o zdanie. Inny przykład:

Przyjechał do Wieruszowa któryś z łódzkich literatów (nazwiska nie pamiętam). I ta sama młodzież niby to leniwa i pozbawiona zainteresowania dyskutuje z ożywieniem, dyskutuje zadziornie, zdradzając duże oczytanie w sprawach współczesnej literatury i sztuki. Przyznaję z zażenowaniem, że ich wiedza o przedmiocie przerastała wiedzę wielu obecnych na sali nauczycieli. Padały pytania dotyczące prądów nowoczesnych w sztuce i literaturze. Domagano się odpowiedzi na pytania o pisarstwie Hłaski. Byłam szczęśliwa, że to nie ja muszę dawać odpowiedzi. I wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że właściwie nie znamy i nie staramy się poznać świata zainteresowań tej młodzieży.

* * *

A więc zdawałoby się doszliśmy do sedna sprawy. Przyczyną wymykania się młodzieży byłoby więc niedouczenie kadry nauczycielskiej?

Nic podobnego. W tejże 11-latce prawie wszyscy nauczyciele ukończyli wyższe studia bądź uczą się zaocznie w zakresie wykładanego przedmiotu.

Uczą się aż do bólu głowy, do obłędu... Oglądałam nadesłane im programy studiów zaocznych. Są to programy uczelni pedagogicznych, zwanych SN-ami. (Studium Nauczycielskie). Programy są niezwykle obszerne. Materiał jak również zalecana lektura są tak rozległe, że głowa pęka od czytania samego spisu. Np. studia języka polskiego obejmują kilkanaście przedmiotów z zakresu gramatyki, historii i teorii literatury. Ponoć teoria to przedmiot nowy i dlatego sprawia największej trudności studiującym. Nic dziwnego...

Kiedyś wystarczyło odmalować tło społeczno-ekonomiczne, dziś przy ocenie dzieła wymaga się omówienia kryteriów artystycznych. Niełatwo jest się przestawić tym, którzy w praktyce nauczania zdobyli bez mała trwałe nawyki zawodowe. W tej chwili wielu nauczycieli nie wie jak wykładać, jak tłumaczyć pewne zjawiska w literaturze. To odwet życia za pierwsze, za pewne uproszczenia ubiegłego okresu... Przy tym wiedzę trzeba poszerzać w niezwykle trudnych warunkach. Oprócz zaleconej w programie studiów lektury trzeba przecież przygotowywać bieżące lekcje. Czy można więc poświęcić jeszcze

czas na studiowanie prasy, na czytanie nowych wydawnictw książkowych? Tym bardziej trudno, że przy studiach zaocznych wszystkie ferie, wszystkie przerwy w toku nauczania wykorzystuje się na seminaria. A problem dojazdów? Nauczyciel chemii ob. Marczak dojeżdża na seminaria aż do Gdańska.

A więc zarzut nieuctwa jest pozorny. Wprost przeciwnie, nauczyciele narzekają i słusznie, na przeciążenie nauką.

A mimo to ci sami nauczyciele aż nazbyt często znajdują się w kłopotliwej sytuacji. Wystarczy, że uczeń zapyta, co sądzić o Picassie i jaki kierunek w sztuce on reprezentuje? A oni nie chcąc się kompromitować, mówią najczęściej: przyjdź jutro to pogadamy. Chcą w ten sposób zyskać na czasie, by wieczorem w wolnej chwili, poszperać w encyklopedii, szukając wyjaśnień, które w końcu ich samych nie potrafią zadowolić. A uczniowie widzą to i rozmyślnie zadają podchwytliwe pytania: dlaczego piszą w gazetach, że Saganka jest wyrazicielką postawy współczesnego pokolenia, co to jest egzystencjalizm i czy egzystencjalistę poznaje się po brodzie i stroju niedbałym, specyficznych formach bycia, czy też jest to światopogląd? Jaki?

Oto pytania zadawane najczęściej i to zadawane raz serio z chęci młodzieńczej wykrywania prawdy, a raz „dla draki" by postawić nauczyciela w dwuznacznej sytuacji, po czym z miną niewiniątka śledzić jego zakłopotanie i śmiać się z wykrętów.

* * *

To nie są zjawiska sporadyczne. To jest prawie reguła. Zjawisko rozmijania się zainteresowań szkolnych i pozaszkolnych występuje nie tylko w środowiskach miejskich ale nawet na prowincji. Potwierdza to przykład Wieruszowa.

Być może na prowincji uczniowie nie demonstrują tak wyraźnie odrębności swych zainteresowań, ale i tu docierają nowinki współczesności. Docierają i niepokoją, a nauczyciele, zaorani pracą i nauką własną nie zawsze potrafią dopomóc im w ich dociekaniach prawdy, nie zawsze potrafią dać im do ręki busoli, która pozwoliłaby tej ciekawskiej, wścibskiej młodzieży orientować się w zwykłych problemach współczesnej kultury, sztuki, etyki, czy życia w ogóle...

Nie potrafią, gdyż sami nie mogą się w tym połapać, sami nie mają „przyrządów orientujących", a w tym wypadku konkretnej wiedzy o sprawach nam współczesnych. I tu dochodzimy do sedna sprawy... do programów nauczania. Programów nauczania zarówno samych nauczycieli jak i młodzieży szkolnej. Tu tkwi bowiem główna przyczyna wymykania się młodzieży spod wpływu szkoły, spod duchowego przewodnictwa nauczyciela...

* * *

Przeglądam np. program S. N. w zakresie historii literatury polskiej jak również literatury powszechnej. Do programu włączone zostały pozycje, które utrzymane są raczej w konwencji dziewiętnastowiecznej, a więc ci, którzy piszą dostępnie i zrozumiale. Np. Brandys (Marian i Kazimierz) Bunsch, Kruczkowski, Dąbrowska, z poetów Staff, Broniewski, Gałczyński, Tuwim — to wszystko Po prostu doczepia-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Nasza szkółka

„Panna z dzieckiem" i sprawy pokrewne

Idei i praktyki zbiorowej odpowiedzialności nie wymyśl Adolf Hitler. Pojawiała się ona zawsze tam, gdzie istniał krańcowy fanatyzm, krańcowy totalitaryzm, gdzie społeczeństwo lub jakieś jego grupy dochodziły do krańcowego wynaturzenia o patologicznych objawach.

Dlatego istnienie idei lub praktyki zbiorowej odpowiedzialności — jest papierkiem lakmusowym reagującym na krańcowo groźne odczynniki społeczne.

Historia odpowiedzialności zbiorowej w Polsce sięga średniowiecza i pierwszych pogromów innowierców, opartych o pogłoskę, że jakiś reprezentant odmiennego wyznania uczynił coś złego. W długo, długo potem przyszedł Adolf Hitler, który otwarcie posługiwał się tą zbrodniczą zasadą sprzeczną ze wszystkimi normami postępowania, jakie wymyśliła cywilizacja.

Przepraszam za ten ton. Przepraszam za pokrzykiwanie. Po tym wstępie chcę opowiedzieć historię. Historię banalną. Czytaliśmy już o wielu podobnych.

Ks. Zdzisław Bętkowski przyjechał do kolegi, ks. Sidorowicza osiadłego na stałe w Brodach koło Jezior Dolnych. Księża zaangażowali w charakterze służącej 17-letnią dziewczynę nazwiskiem Zofia Górska. Ks. Sidorowicz wyjechał po jakimś czasie na urlop, a ks. Bętkowski zastępował go w pracy. Pewnego dnia spoił on Górską winem mszalnym zmieszanym z wódką. Dziewczyna obudziła się rano w pokoju swego chlebodawcy.

Potem ks. Bętkowski wyjechał. Zofia Górska zaś spostrzegła, że jest w ciąży. W związku z tym dziewczyna zostaje wyrzucona z pracy. Ks. Bętkowski nie interesuje się nią ani jej losem. Nie przyznaje się zresztą do ojcostwa. Zofia Górska zwraca się o pomoc do kurii biskupiej we Wrocławiu. Kuria rozkłada ręce.

Dziewczyna składa pozew do sądu o alimenty. Na procesie ks. Bętkowski czyni cuda, przedkłada m. in. zaświadczenie o swojej bezpłodności. Potem okazuje się ono fałszywe. Sprawa się ciągnie. W każdym razie Górskiej przyznane zostają mizerne alimenty w wysokości 200 zł miesięcznie.

Ks. Bętkowski nie płaci ani grosza, ale rozprawa sądowa ma ten skutek, że miejscowe dewotki zatruwają życie „pannie z dzieckiem", która do tego wszystkiego ośmieliła się jeszcze „księdza włóczyć po sądach". Zofia nie może już dłużej żyć w swojej wsi, wyjeżdża wraz z dzieckiem do jakichś krewnych i tym samym znika z naszej opowieści.

Opowieść zaś ma swój ciąg dalszy. Właśnie ten najbardziej istotny.

Opinia wsi, której wymknęła się ofiara, całą złość kieruje przeciwko 50-letniej matce Zofii Górskiej. Spokojną wdowę kreuje ona na miejscową kurtyzanę, zarzuca przyjmowanie mężczyzn, „jawnogrzesznictwo", pijatyki i różne przedziwne swawole. Dalej celuje w siostrę Zofii, którą odsądza się od czci i wiary za to, że ona, mężatka, ma tylko jedno dziecko, ergo jest niemoralna. Cała rodzina Górskich zostaje izolowana.

Opinia dewotek głosi, że wszyscy Górscy są umysłowo chorzy. Wreszcie nowe oskarżenie. Matka Zofii obwołana zostaje czarownicą. Zwyczaj dyktuje co robić z „czarownicami". Ponieważ stos mimo wszystko w 1959 r. jest nieaktualny, we wsi pojawiają się pisane i wykrzykiwane hasła: „Wysiedlić Górską!".

Ponieważ widać wysiedlenie przedstawiało mieszkańcom wsi niejakie trudności, 20-letni młodzieniec Tadeusz Krupiński podejmuje się wymierzenia jej „doraźnej sprawiedliwości". Chłystek bije i kopie 50-letnią Józefę Górską.

Krupiński zostaje skazany na karę aresztu. Jeszcze bardziej rozsierdza to wieś. Dewotki czynią rzecz, którą można by nazwać komiczną, gdyby nie dotyczyła ona tak tragicznej sprawy. Mianowicie preparują „Petycję ludności" do Sądu Powiatowego o... wysiedlenie rodziny Górskich jako czarowników, wariatów, ludzi amoralnych itd. itd.

W tym momencie prokuratura otwiera śledztwo przeciwko inspiratorom nagonki. Śledztwo to trwa. Sprawa będzie miała jeszcze swój epilog.

Cała ta, zaczerpnięta z prasy *) historia, smutna i tragiczna, pełna jakichś koszmarnych miazmatów średniowiecza z epizodami bestialstwa i jakiegoś niepojętego fanatyzmu — ma ów ciekawy i alarmistyczny moment: działa w niej i przenika ją całą idea odpowiedzialności zbiorowej.

Nagonka na „pannę z dzieckiem" w ogóle, a z księżym dzieckiem w szczególności, to na wsi wypadek częsty. Ekscesy tego typu, różne wynaturzenia i bestialstwa są patologią pewnego systemu rozumowania i odczuwania, systemu, który oburza, ale który istnieje, tu i ówdzie panuje i to, jako fakt, trzeba, niestety, uznać. Ale w sprawie Górskich występuje coś jeszcze straszniejszego. Jedyną przyczyną nagonki na całą rodzinę jest „występek" Zofii Górskiej.

Dziewczyna znika ze wsi. Dalsze konsekwencje jej sprawy są już czymś gorszym od opisywanych tu prawidłowości potocznego fanatyzmu. Są realizacją idei zbiorowej odpowiedzialności.

Tyle słyszymy i czytamy o rzeczach dziejących się na wsi w sferze obyczajów, że i to nie zaskoczy może wielu Czytelników. Pewne sygnały jednak dowodzą, że żywotność idei odpowiedzialności zbiorowej nie ogranicza się do wsi. Że wypadki jej działania obejmują również 700-tysięczne miasto Łódź.

W swoim czasie skazany u nas został na karę więzienia pewien pospolity przestępca, złodziej grosza społecznego, malwersant na wielką skalę. Sprawa jego głośna była w Łodzi. Jego postępki wywołały ogromne oburzenie ludności naszego miasta. I to jest rzecz zrozumiała.

I oto teraz, gdy ów przestępca odsiaduje swoją karę w więzieniu — ludzie zaczęli szykanować jego rodzinę. Doszło do najść na jej mieszkanie, obelżywych słów i napisów. Zupełnie jak w skądinąd chałowatym filmie „Doktor Korda aresztowany".

Nie można, oczywiście, mówić o jakiejś powszechności takich wybryków. W każdym razie kroniki milicyjne całego kraju notują poszczególne wypadki, które świadczą o tym, że idea zbiorowej odpowiedzialności jest żywotna w jakichś grupkach społecznych. Że próbuje się wprowadzać ją w życie.

Jednym z fundamentalnych kanonów współczesnego i nowoczesnego w ogóle prawa, współczesnej etyki i psychologii jest zasada, że za każdy czyn ludzki odpowiedzialny jest ten, który go dokonał. Że człowiek, istota, jak wiadomo, społeczna, w kwestiach winy i kary (i tej winy, którą rozsądza kodeks karny i tej, którą zajmuje się nauka o moralności) jest tylko pojedynczym człowiekiem, tylko jako taki może czynić źle lub dobrze. Że ma on swój rozum, swoją bardziej lub mniej wolną wolę. I że winą za jego postępki można obarczać tylko jego samego.

Dalej, że ani ci, z którymi mieszka, je i sypia, ani ci, którzy go rodzili, ani ci, których on rodził — nie odpowiadają za jego czyny.

Nie jest to w pewnych wypadkach sprawa taka prosta i dla każdego oczywista. Pamiętamy dyskusje na temat Niemców jako takich w pierwszych latach po wojnie, kiedy krzywdy były tak świeże. I wtedy znaleźli się ludzie lansujący teorie: „naród zbrodniarz", ukarzmy naród, zawinił naród.

Cała światła opinia publiczna świata dała odpór takim wezwaniom, nazywając je po imieniu kontynuacją faszystowskich idei. Szlachetną walkę w tej sprawie staczali notabene z tymi pokrzykiwaniami ideologowie i prawnicy radzieccy, przedstawiciele narodu potwornie przez hitleryzm eksterminowanego. I oczywiście zwyciężyła zasada, że za zbrodnie SS-mana X nie tylko nie może odpowiadać Niemiec więziony w obozie koncentracyjnym przez hitleryzm, ale za zbrodnie SS-mana X nie może odpowiadać SS-man Y. On odpowiada za swoje.

Wspominam te stare sprawy, żeby uzmysłowić Czytelnikowi, że kwestia odpowiedzialności zbiorowej nie zawsze we współczesnych czasach była taka oczywista w tym sensie, że np. za jakimś gremialnym „karaniem Niemców" przemawiały impulsy emocjonalne również wielu z nas, którzyśmy tyle od faszyzmu wycierpieli.

Częste są wypadki, że człowieka niesłusznie potępia się i prześladuje za jakieś czyny tylko dlatego, że nie odpowiadają one pewnym wstecznym a obiegowym poglądom. Np. potępia się kobietę za to, że porzuca męża łobuza (albo odwrotnie) dlatego, że rozejście się albo rozwód uchodzi w pewnych kręgach społecznych za akt niemoralny, jak gdyby sprawstwo rozkładu małżeństwa i życie w piekle awantur, było moralne. W tych wypadkach występuje mylna ocena rzeczywistych postępków człowieka, który ich dokonał i sankcje skierowane przeciwko niemu wynikają z jakichś założeń, są logicznym, choć często wynaturzonym i patologicznym ich następstwem.

Natomiast przejawy wcielania w życie idei odpowiedzialności zbiorowej nie dadzą się wyjaśniać ciemnotą, zacofaniem, reliktami innych epok itd. Są to akty czysto barbarzyńskie. Uderzają bowiem nie tylko w niewinnych z punktu widzenia światłych kryteriów winy i niewinności. Uderzają w ludzi niewinnych z każdego punktu widzenia. Jest to więc najwyższy stopień krzywdy, jaką może wyrządzić człowiek człowiekowi.

Akty urzeczywistniania odpowiedzialności zbiorowej są barbarzyństwem chemicznie czystym. Są konsekwencjami tych postaw psychicznych, tych poglądów, które wiodą do mechanicznego wyrzynania dzieci.

W przyszłym tygodniu powrócę do felietonistyki.

BELFER

*) vide: „Fakty i Myśli" nr 20.

Dalszy ciąg ze str. 1

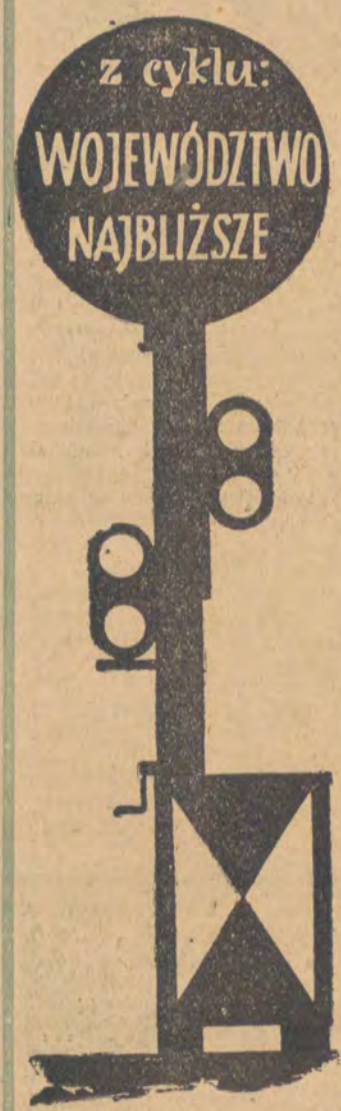

Bolesny krzyk średniowiecza

Tekst ANDRZEJ BRYCHT

Zdjęcia Z. WALTER

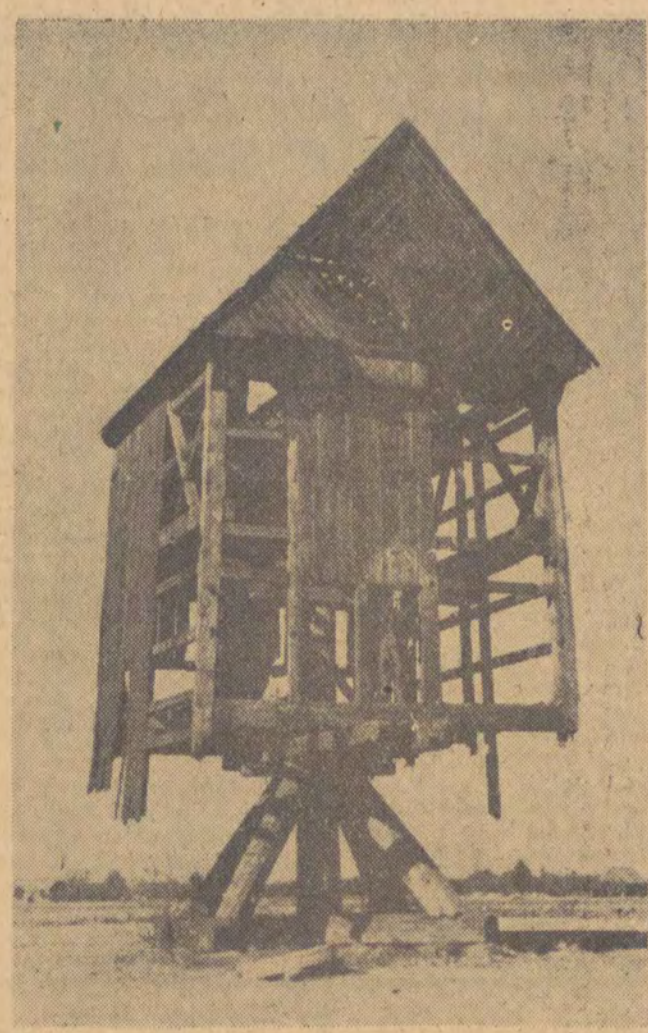

Oto wiatrak, obok którego popełniono zbrodnię. Kto się dobrze przyjrzy, ten zobaczy ducha, który ukazał się naszemu fotoreporterowi w samo południe.

Raz na pół roku przyjeżdża „kontrol" do leśniczego. Samochodem, a jakże. Raz na pół roku, bo dojazd trudny, piaski, lasy, kręte i dziurawe, wąskie drogi.

Leśniczego chata w samym lesie stoi, zaraz za chatą Zająca, w samym końcu wsi.

Usłyszała „kontrol" krzyki Zającowej. Pojechała do Zająca chaty.

Jak raz sołtys żyłę spod piersi wyciągał. Już świecę przystawiał. Tylko zły był, biedaczysko, bo mu żadna żyła na pół metra wyjść nie chciała.

A jeszcze bardziej się zezłościł, jak mu przeszkodzono.

Zającowa żyje, i to dziecko przedwczesne też. Tylko z sołtysem Zające jak pies z kotem żyją. Bo kiedy brali Zającową do samochodu, żeby do szpitala odwieźć, to sołtys do chlewka pobiegł, świniaka za uszy złapał i do siebie przepędził. Oddać nie chce.

„Jakby nie ja" — powiada — „to i w szpitalu by jej nie uratowali. Szczęście, że zdążyłem żyłę załapać..."

Szczęście, że już zdążył. Bo wtedy Zającowa zaczęła krzyczeć, i ludzie naszego wieku posłyszeli ten krzyk średniowiecza.

A sołtys W. nie domyśla się nawet, że uniknął długiej kary więzienia.

Po drugiej stronie małej rzeczki, w małym parterowym domku mieści się szkoła. W jednej z izb mieszka nauczyciel. Nauczyciel ma rower i dwadzieścia lat. Cóż on biedny może?... Nie ma tu nikogo bliskiego. Nie ma znajomych, przesiaduje w swojej szkole całymi dniami, kiedy jest ładnie to jeździ po lesie. Otoczony nieufnością, pozbawiony jakichkolwiek bodźców „dodatnich", niemalże dogorywa na swojej pustynnej placówce.

A przecież żyje w sercu Polski! Stąd o dziesięć kilometrów Koluszki, stąd o pięćdziesiąt Łódź, o osiemdziesiąt Warszawa. Cóż mają powiedzieć ci z Rzeszowskiego, ci z Białowieży, ci młodzi, niedoświadczeni nauczyciele „wyrzuceni z kraju" — jak w chwilach rozgoryczenia mówią.

Problem średniowiecza w erze lotów międzyplanetarnych, w takich warunkach przerasta siły samotnego nauczyciela. Tu przecież nie idzie o agitowanie, o namawianie do korzystania z usług lekarzy, których w okolicy nie brak!

Jest szpital i poradnia w Regnach, jest w Brzezinach, jest w Koluszkach... w Jeżowie wreszcie, dokąd najbliżej, bo tylko pięć kilometrów. Nie brakiem przychodni dentystycznej należy tłumaczyć fakt, że w soboty staje krzesło przed domem sołtysa, a przed krzesłem sołtys z nożycami i brzytwą w dłoni. Na kamieniu obok krzesła obcęgi. W krześle siada człowiek brodaty i długowłosy, namydlony po uszy mydłem żółtym, pianą tężejącą. Inni patrzą sołtysowi na ręce, kręcą głowami w podziwie, kiedy delikwent wstaje z krzesła gładki na twarzy, choć porżnięty, z głową ostrzyżoną „pod garnek". Myje się u studni, bohatesko parskając, a oni ściskają dłońmi ukryte w kieszeniach ćwiartki zagrzanej wódki.

Potem krzesło zajmują ludzie o spuchniętych policzkach. Sołtys bierze do rąk grube, niezawodne obcęgi. Jak koniowi hacel z podkowy wyrwie, to zęba człowiekowi nie usunie?

I zobacz, jak się odpędza burzę! Trzeba żabę ze studni wyciągnąć. Trzeba tę żabę zabić. A właściwie udusić. To się zwyczajnie zabija. O kamień. Potem się wiesza w oknie tę żabę, głową w dół, na nitce. Potem się coś mówi, ale to nieważne. Żaba ważna. Może się burza żaby przestraszy?

Prawie zawsze, a właściwie zawsze się przestrasza. Bo zawsze odchodzi.

„Pokrzyczy nieraz, pohuko nad chałupą, ale odejdzie" — powiada Zającowa i zdejmuje żabę. Rzuca kotu, choć wie, że kot nie ruszy. Ale tak trzeba.

Tyle, że kiedy niedawno odwiedziłem tę moją piękną, biedną wieś, to już nie było Zająców, chaty, obórki, chlewka i stodoły. Kupa zgliszcz leżała na ziemi, swąd się ciągnął po krzakach, po sadku młodym, śliwki ususzyły się na gałęziach.

Ogień się żab nie przestraszył.

Ale — Zającowa żyje do dziś, a miała umrzeć dawno.

Pożar przekonał wieś, że nie należy wierzyć w metafizyczną moc żabiej śmierci. Szpital przekonał wieś, że nie należy wierzyć w wiedzę medyczną sołtysa. Więc sołtys już nie jest sołtysem. Niektórzy biegają do Brzezin wstawiać zęby, które im sołtys wyrywał.

Ale pożar i szpital, to przypadki „od święta". Nie wszyscy się dali przekonać. Na codzień pokutuje w ludziach przekonanie o wyższości starych „wypróbowanych" metod „zaczynania" zła, nad nowoczesnymi lekarskimi sposobami.

I są dwa pytania: Jak temu zaradzić? I — kto ma temu zaradzić?

Jak — wiemy. Ekspansją wiedzy, kultury, higieny. Ale kto? To ważniejsze pytanie.

Ekipy łączności miasta ze wsią? Te rozbawione, zmotoryzowane, majówkowe ekipy? Czy ktoś, kto stale mieszka na wsi, kto na tę wieś poszedł wykonywać swój zawód, kto na tej wsi jest nierzadko sam, zupełnie sam ze swoim dwudziestowiecznym myśleniem — więc nauczyciel?

Powiecie: zabobony, to problem bądź co bądź marginesowy. Oczywiście! Nie twierdzę, że to problem w obecnej chwili najważniejszy.

Ale pamiętacie stary wiatrak, obok którego przechodził mężczyzna w białej koszuli, nocą, a drugi pomyślał, że to duch, bo krążyły wieści, że w wiatraku straszy, i ten drugi dziabnął tego w białej koszuli siekierą, i zabił go — pamiętacie ten wiatrak?

A szopę pamiętacie, tę szopę, w której przez czternaście lat trzymano dziewczynę, bo gospodyni ktoś powiedział, że jeśli dziecko wyjdzie na świat boży, to ziemia urodzi kamienie — pamiętacie tę szopę?

Więc na pewno, nie są to problemy centralne, ale i na tyle ważne, żeby się nimi zająć.

Tym bardziej, że zabobon pleni się również i w miastach. Niedawno ukazało się w łódzkim dzienniku ogłoszenie — niejaki Wieńczysław Czetwertyński, światowej sławy grafolog po sukcesach zagranicznych powrócił do kraju. Grafolog natychmiast otrzymał tysiące listów z prośbą o odczytanie przyszłości. *)

Paradoks. Wiara w bzdurnie w epoce rakiet kosmicznych. I jeszcze paradoks: ci sami ludzie, którzy zawzięcie dyskutują na temat sputników, mózgów elektronowych i atomu, w tajemnicy przed znajomymi chodzą do wróżek, różnego rodzaju grafologów i szarlatanów medycznych.

Przyczyna tkwi częściowo w niejakiej atrakcyjności, efektownej tajemniczości zabiegów szarlatańskich. Każdy z nas, z natury rzeczy ma pragnienie emocji — rzecz w tym, gdzie jej szuka, i gdzie znajduje. I z jakim skutkiem.

Jeśli idzie o wieś, problem ten jest wyjątkowo ważny.

Autentyczne przypadki, jakie opisałem, pochodzą z terenu tylko województwa łódzkiego. Pomyślcie ile szkód przyczynia wiara w zabobony w województwach takich, jak rzeszowskie czy lubelskie!

Jaka na to rada?

Zacznijmy ogólnopolską akcję zwalczania wszelkich przejawów zabobonu. W epoce rakiet międzypanetarnych, w przededniu zdobycia księżyca nie może być na naszej starej planecie najrozmaitszych szamanów, zaczyniających uroki, zamawiających choroby, okaleczających i uśmiercających naiwnych klientów.

Wytępimy ich nie sankcjami karnymi, nie naciskiem administracyjnym, lecz tylko uświadamiając ludzi, którzy są czy mogliby być odbiorcami szarlatańskich usług.

Wielką rolę mają tu do spełnienia nauczyciele wiejscy. Do nich to przede wszystkim się zwracamy. Wierzymy, że nam pomożecie, zawiadamiając o grasujących „lekarzach" i „czarodziejach". Gdyby młody nauczyciel z Wolicy wcześniej napisał list o praktykach sołtysa, Zającowa nie potrzebowałaby ryzykować życia, które tylko dzięki przypadkowi zostało uratowane. Tego rodzaju wypadki należy uprzedzać. Mogą się bowiem skończyć tragicznie.

*) Uwaga! O sprawie jasnowidza — grafologa Wieńczysława Czetwertyńskiego — napiszemy w jednym z następnych numerów naszego pisma — przyp. redakcji.

W tej szopie przez czternaście lat, dniem i nocą żyła dziewczynka. Jedzenie podawano jej przez okienko.

Z ARCHIWUM ŁÓDZKIEGO GESTAPO

„Towarzysz" NAU

Dokończenie z poprzedniego numeru

Gierkowskiego wysłano do Mauthausen, gdzie doczekał wyzwolenia. Bronek Zapała, sekretarz komórki PPR, więziony był przy ul. Sterlinga a następnie wywieziony do Mauthausen, gdzie zginął zamordowany w dniu 1 grudnia 44 roku.

Praca partyjna na dzielnicy Bałuty zaczęła się chwiać. Wszyscy szukają zdrajcy. Nikt nie ma dowodów. Może to był właściciel ostatniej meliny, a może sąsiad? Może znajomy Volksdeutsch, a może gadatliwa żona?

Nau wynosi z rzeźni dziesiątki kilogramów mięsa i tłuszczu, dostarcza rodzinom aresztowanych, pomaga czynem i dobrym słowem. Oddaje łódzkiemu Gestapo jeszcze jedną przysługę...

Z aresztowanymi, którzy siedzieli w więzieniu przy ul. Sterlinga nawiązano kontakt przez strażnika, Niemca, którego przekupiono pieniędzmi. Przenosił grypsy, umożliwiał więźniom kontaktowanie się, przynosił wiadomości o ich zdrowiu.

Nau dowiedział się od żony jednego z aresztowanych, że dzieki strażnikowi otrzymała gryps od męża.

V-80 zameldował o swych spostrzeżeniach i po kilku dniach strażnika powieszono na dziedzińcu więziennym.

W ten sposób przecięto wysiłki aresztowanych, poszukujących z więzienia człowieka, który ich zdradził.

W krótkim okresie czasu Nau ustalił adres prywatny, miejsce pracy i kontakty z aktywem organizacyjnym komendanta — Bałuty — „Hardego". Wreszcie najcenniejsza dla Bayera informacja, że w dniu 23. I. 44 w mieszkaniu „Hardego" odbedzie się konferencja członków Komitetu. Nau w swoim meldunku obiecuje Bayerowi, że będzie miał dokładne informacje z przebiegu tej konferencji. Konferencja nie doszła do skutku, bo 21. I. 44 Gestapo aresztuje Mieczysława Frączaka pseudonim „Hardy". Dokładnie w dwa miesiące później (21. III. 44) zostaje on powieszony w więzieniu na Sterlinga. Mimo forsownego śledztwa nie zdołano z niego wyciągnąć żadnych informacji o składzie osobowym sztabu GL, na terenie okręgu łódzkiego.

Za wydanie „Hardego" V-80 otrzymał **„1 Flasche Schnaps und 48 Stück Zigaretten".**

I znowu mija kilka tygodni bezruchu i znowu organizacja dobiera nowych ludzi, znowu rusza do walki z wrogiem. Gestapo zabrało najlepszych, najbardziej aktywnych, ale na opróżnione miejsca przychodzą nowi, podejmują ciężką pracę. Organizacja żyje, organizacja walczy — wysiłki V-80 mogą tylko opóźnić ten proces, ale go nie zatrzymają.

Nau dowiaduje się od Kowalczyka, że z Warszawy ma przyjechać wysoki funkcjonariusz partyjny, aby pomóc w uaktywnieniu pracy łódzkiego okręgu GL.

Bayer przesłał tę informację do Berlina i za kilki dni przyjechał do Łodzi urzędnik RSHA, aby osobiście poprowadzić tę sprawę i uzyskać wyjście na Sztab Główny GL. Zmobilizowano wszystkie środki aby aresztować funkcjonariusza z Warszawy. (Z późniejszych ustaleń wynika, że tym funkcjonariuszem był obecny gen. Moczar). V-80 zdołał ustalić łączniki „Wandę" i „Irkę", które opiekowały się Moczarem na terenie Łodzi, ale jednocześnie dowiedział się, że ten już odjechał do Warszawy, ale ma wrócić za cztery tygodnie.

V-80 miał za krótkie ręce i nie mógł, mimo maksymalnych wysiłków, rozpracować tej sprawy. Jego informacje były zazwyczaj spóźnione i temu należy zawdzięczać, że kontakt organizacji łódzkiej z Warszawą nie został odcięty. Gdy Moczar przybył ponownie do Łodzi, V-80 zameldował i tym razem za późno. Gestapo rozpoczęło masowe rewizje i aresztowania, aby natrafić na miejsce pobytu funkcjonariusza. Aresztowano także łączniczki „Irkę" i „Wandę", aby w ten sposób zmusić funkcjonariusza do szukania nowych miejsc ukrycia i ewentualnie noclegu u V-80. Akcja spaliła na panewce, funkcjonariusz przebywał w Łodzi jeszcze przez dwa tygodnie, i odjechał do Warszawy.

Była połowa 44 roku. Front szybko się zbliżał do granic Polski. Organizacja ograniczała swe wystąpienia, aby zachować siły na decydującą rozgrywkę. Nau nie miał możliwości rozpracowywania sztabów GL, więc wykorzystywano go do zbierania informacji od rodzin aresztowanych, którym od czasu do czasu przynosił trochę tłuszczu czy mięsa. Oprócz tego denuncjował pracowników rzeźni, którzy słuchali radia zagranicznego, sąsiadów, którzy uważali, że Niemcy przegrali wojnę, handlarzy i szmuglerów.

Zaraz po wyzwoleniu wyjechał na Ziemie Odzyskane, obawiając się odpowiedzialności za swe czyny.

Działalność V-80 w ciągu dwóch lat przyczyniła sie do poważnego ograniczenia działalności PPR na Bałutach, aresztowania około 30 osób, z których kilka zostało straconych, a reszta przebywała do końca wojny w obozach koncentracyjnych.

Takie były wyniki działalności człowieka, który wśród towarzyszy cieszył się zaufaniem i który w najbardziej podły sposób nadużywał tego zaufania. **(J. W.).**

Sądy kapturowe

GUSTAW WERNER

Nie przebrzmiały jeszcze echa śmierci Stefana Bandery, jednego z głównych bohaterów sławetnego batalionu „S.S. Nachtigal", gdy dziwnym zbiegiem okoliczności w ostatniej dekadzie października... umarł nagle na udar serca dowódca operacyjnej grupy „S.S. Nachtigal" Kreisler, drugi świadek mający wiele do powiedzenia o praktykach pana ministra Oberlaendera z czasów gdy nosił on czarny mundur z literami „SS" w formie błyskawicy na kołnierzu!

Tak! — Nie ulega wątpliwości, że pan minister Oberlaender jest Faustem XX wieku i widocznie zawarł dogodny dla siebie układ ze śmiercią, która usłużnie i w samą porę ścina ludzi „niewygodnych", z punktu widzenia interesów pana ministra.

Historia wielkich gier politycznych na przestrzeni wieków zna cały szereg mordów politycznych, które były koniecznością takiej lub innej racji stanu.

Zamordowanie Nerona, Juliusza Cezara czy cara Pawła I, to też były morderstwa

polityczne, które zaliczyć możemy do kategorii tzw. „sprawy wyższej".

* * *

Jednak jeżeli chodzi o wypadek śmierci Stefana Bandery, a obecnie b. dowódcy grupy operacyjnej „S.S. Nachtigal" Kreislera, to śmierć ich charakteryzuje przede wszystkim mentalność i etykę dzisiejszych władców Niemiec zachodnich, gdzie widocznie do dnia dzisiejszego panoszy się w pełni blasku taktyka Hitlera i Bormana. Nie ulega wątpliwości, że znalazł się ktoś, kto dopomógł obu niewygodnym świadkom Oberlaendera umrzeć, zadziwia jednak przede wszystkim bezczelność i cynizm morderców. Sposób dokonania mordów (bo że to są morderstwa, nie ulega wątpliwości), wskazuje na dawną starą metodę kapturowych sądów, instytucji powołanej osobiście przez Hitlera i stosowanej przez niego i Bormana. Sądy kapturowe tzw. „Geheime ritter-lo-ge", wzorowane na starych tradycjach krzyżackich, powołane zostały przez Hitlera po sławetnej nocy św. Bartłomieja (noc długich noży), gdzie zginęło cały szereg działaczy S.A. z kapitanem Rehmem na czele. Wtedy to właściwie prawdziwa „S.A." przestała istnieć, a niedobitki przeszły pokornie do „SS". Właśnie w tym czasie, jak wspomniałem, zostały powołane do życia kapturowe sądy, których wyrok brzmiał zawsze jednakowo — śmierć. Skazany zaś ginął w ten sposób, że wyglądało to zawsze na nieszczęśliwy wypadek lub chorobę.

Dwa ostatnie wypadki śmierci, niewygodnych dla Oberlaendera ludzi, sugerują dwie koncepcje, albo w NRF działa zakonspirowany sąd kapturowy, będący spadkiem po Hitlerze i hitleryzmie, albo Adenauer i jego najbliżsi powołali do życia w ścisłej tajemnicy nową tego rodzaju instytucję działającą według starej hitlerowskiej metody i tradycji.

Przyjmując pierwszą hipotezę, że działa tu zakonspirowany sąd kapturowy, zastanawia przede wszystkim możliwość działania pod bokiem kryminalnej policji. Bo przecież tego rodzaju nielegalna instytucja jest po prostu bandyckim gangiem mordującym na zamówienie. Jeżeli faktycznie tak jest, to muszą mieć odpowiednio silnych i możnych protektorów i działając w ich cieniu pewni są absolutnej bezkarności. Tego rodzaju „trust morderców" może istnieć tylko w ustroju kapitalistycznym, gdzie korupcja obejmuje wszystkie szczeble hierarchii rządowej. (Vide, ostatnie słynne afery morderczych mafii we Włoszech i Francji). Mimo wszystko wydaje mi się jednak tego rodzaju koncepcja dosyć mocno naciągnięta — gdyż tego rodzaju instytucja pomimo swoich możliwych opiekunów, będąca faktycznie poza prawem, lub ściślej, ścigana przez prawo każdego kraju, nie mogłaby istnieć i pracować tak idealnie czysto, jak miało to miejsce w ostatnich 2 wypadkach w Niemczech zachodnich. Jeżeli nawet organizacja ta działająca w cieniu i pod opieką „grubych ryb" w NRF jest pewna swej bezkarności, to mimo to istnieje niebezpieczeństwo przypadkowego zdemaskowania i co za tym idzie i kompromitacji mocodawców. Z ostatnich wypadków jednak wynika, że ręka morderców działa „na pewniaka" bez jakiejkolwiek obawy zdemaskowania, dlatego też wydaje się, że druga koncepcja o powołaniu do życia „sądów kapturowych" przez Adenauera jest bardziej realna i rzeczywista.

Adenauer, otoczony ścisłym gronem dawnych hitlerowców musiał prędzej czy później przyjąć dawną linię wewnętrznej działalności według hitlerowskiej koncepcji, w przeciwnym razie przegrałby sam swoją własną grę. Analizując koncepcję polityki Adenauera od samego jej początku, tj. od chwili objęcia przez niego stanowiska kanclerza, nie trudno spostrzec przebijającą się jaskrawo „krzywą" linię jego posunięć w partii jak i w rządzie. Najbardziej uwypukla się to na przestrzeni ostatnich lat jego działalności politycznej, zwłaszcza ujaskrawia się od chwili powołania do życia zakonu krzyżackiego i pasowania Adenauera oficjalnie na świeckiego mistrza zakonu. Jasne jest, że wszystkie te elementy „nowego ładu" zostały świadomie wskrzeszone przez niego i jego satelitów.

Dlatego też wydaje się zupełnie realną koncepcja powołania do życia starej loży „sądów kapturowych", które oddały olbrzymie usługi Hitlerowi i jego otoczeniu.

Kompromitacja Oberlaendera nie leży w interesie polityki Adenauera, i jak wiadomo, dopiero pod naciskiem światowej opinii publicznej Adenauer zgodził się na dochodzenia śledcze przeciwko swemu ministrowi i byłaby wbrew interesom polityki obecnego rządu Adenauera kompromitacja jednego z ministrów obecnego gabinetu Rzeszy.

Jasne jest, że śmierć dwóch głównych świadków jest wybitnie na rękę nie tylko Oberlaenderowi, ale przede wszystkim kanclerzowi i co za tym idzie obecnemu rządowi Rzeszy.

Szyta grubymi nićmi cała afera śmierci obydwóch świadków rzuca wprawdzie cień na sylwetkę Oberlaendera, dowieść jednak nie można mu niczego, co groziłoby kompromitacją i skandalem. Być może w dalszym ciągu śledztwa wyjdą na jaw pewne sprawy, które rzucą jakieś światło na całokształt skandalicznej afery monachijskiej i wtedy, być może, prawda wyjdzie na jaw.

W chwili obecnej, dzięki tragicznej śmierci obu głównych świadków, śledztwo przeciwko Oberlaenderowi jest właściwie bezprzedmiotowe, a rezultaty jego można z góry przewidzieć. Być może, że istnieją inni świadkowie mogący skompromitować Oberlaendera, ale nagła i tajemnicza śmierć Bandery i jego współtowarzysza — stała się automatycznie groźnym ostrzeżeniem dla innych. Zapewne będą oni woleli milczeć.

Pan minister Oberlaender i pan kanclerz Rzeszy Adenauer mogą chwilowo spać spokojnie, groźba kompromitacji odsunęła się chwilowo na dalszy plan. Policja kryminalna, która prowadzi śledztwo przeciwko Oberlaenderowi, uchyla się od odpowiedzi na temat śmierci Bandery i jego towarzysza niedoli — przyciśnięta jednak do muru przyznała, że: „w tym wypadku należy zapytać o wyjaśnienie pana ministra Oberlaendera". Odpowiedź ta jest aż nazbyt jasna i nie wymaga komentarzy.

Nie ulega wątpliwości, że śledztwo przeciwko Oberlaenderowi upadnie, ale czy będzie to równoznaczne z rehabilitacją? — Na pewno, nie!

Jeżeli nawet mimo wszystko Oberlaender utrzyma się nadal na fotelu ministra — to dla opinii publicznej całego świata jasne będzie, że on, a nie kto inny ponosi odpowiedzialność za krwawą i bestialską działalność „S.S. Nachtigal" w czasie okupacji, a tajemnicza śmierć obu głównych świadków jest właśnie dowodem, że Oberlaender był i jest zimnym i wyrachowanym mordercą!

„Bo my się nie możemy nasłuchać"...

Piętnastolecie łódzkiej rozgłośni! Mamy okazję do podsumowania dorobku naszej jubilatki. Do warszawskiego Biura Studiów i oceny Programu napływa przeciętnie sześćset listów tygodniowo. Część tych listów dotyczy audycji nadawanych przez łódzką rozgłośnię. Pakiet łódzkiej poczty jest również bogaty. Mam przed sobą gruby tom listów od słuchaczy z Łodzi i województwa. W przeważającej części są to wypowiedzi pochwalne pod adresem redaktorów i autorów poszczególnych audycji. Korespondencja ta świadczy o bardzo bliskim i serdecznym stosunku słuchaczy do łódzkiej redakcji programowej. Oczywiście, nie chcę opierać oceny społecznego oddziaływania radia wyłącznie na tych wypowiedziach. Jednakże jubileuszowy charakter tej wzmianki zwalnia mnie od wyczerpującej analizy programu radiowego.

Piszę, rzecz prostą, o funkcji radia w bieżącym okresie. Niewątpliwie, ciekawa byłaby próba uchwycenia rozwoju niektórych form publikacji radiowych. W kolegium redakcyjnym łódzkiej rozgłośni toczą się stałe dyskusje, jak uatrakcyjnić i usprawnić program. To usprawnienie można stwierdzić, na przykład, na dziennikach radiowych, które stają się coraz ciekawsze, zarówno w treści jak i w formie, a nie były najmocniejszym punktem programu.

Mówiąc o oddziaływaniu społecznym radia należałoby chyba przyjąć podział funkcji opracowany przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Badań nad środkami Masowej Komunikacji, a mianowicie: funkcję informacyjną, obywatelską, kulturalną i wychowawczą oraz rozrywkową. Ale i ten podział nie może być traktowany sztywno, bardzo często audycja czysto informacyjna spełnia funkcję wychowawczą, a nawet rozrywkową.

Lektura listów, które codziennie napływają do rozgłośni, utwierdza w przekonaniu, że redakcja łódzka ma poważne osiągnięcia. Niektóre audycje lub cykle audycji znane są w województwie. Niestety, nasza radiostacja, posiadająca nadajnik o mocy 9 kilowatów, jest bardzo słabo słyszalna; wkrótce sytuacja się zmieni. Trwają prace końcowe nad budową dwóch nadajników o mocy 50 kilowatów. Audycje, które idą na antenie warszawskiej, w przeważnej części są przyjmowane bardzo ciepło. Czytałem listy ze Stegny koło Gdańska, jak i zza Wrocławia.

Nie będę tu przypominał nazwisk Ciukszy czy Debicha. Toast jubileuszowy pozwala mi na swobodny wybór audycji cieszących się powodzeniem. Dla przykładu (zacznijmy od rzeczy z pozoru bardziej niewdzięcznych): reportaże i montaże radiowe (Szewera, Biliński, Zygmund, Giegier). Nie ma miejsca na analizę formalną tych prac. Są to reportaże poruszające bardzo ciekawą problematykę społeczną i jednocześnie, w całym tego słowa znaczeniu... propagandowe. Ale o propagandzie utarło się tyle sprzecznych i mętnych opinii, że trudno odnaleźć w dzisiejszym, potocznym rozumieniu tego słowa jego dawne znaczenie. Propaganda, jak powiedziała kiedyś prof. Radlińska, świadczy o wartości sprawy. Trzeba przyznać, że poziom publicystyki radiowej podnosi się z dnia na dzień. Odnosi się ta uwaga i do redakcji społeczno-ekonomicznej, która dotykając najbardziej węzłowych problemów naszego życia, nie ma najłatwiejszego zadania. Łatwo jest nakreślić program, że „redakcja zajmować się będzie przede wszystkim tematyką wysuniętą przez III Plenum..." Mimo to przecież, a może właśnie dzięki temu, że mowa jest o rzeczach trudnych, felietony, montaże (ciekawy cykl o lekarzach), audycje posiadają tę błyskotliwość i pikanterię, przy której dawniejsze wydają się suche i jałowe. Oczywiście, że błyskotliwość łączyć się musi z walorami poznawczymi.

Naczelny redaktor, Kazimierz Zygmund, zapowiada występ chóru dziecięcego, który w tej chwili czyni już ostatnie przygotowania. Chór liczy 60 dzieci w wieku od 9 do 16 lat. Opiekuje się nim, jak i ciekawie prowadzoną redakcją dziecięcą p. Janina Krzywopiszyna.

Są audycje, które zna cała Polska. Bardzo żywo przyjmowane są koncerty dla nauczycieli, cykl „7 dzielnic Łodzi", redagowany przez Józefa Mozgę „Wesoły autobus". Ten ostatni powoduje prawdziwą ulewę listów. „Wesoły Autobusie", my uczniowie z Kościerzyna pragniemy ci złożyć serdeczne podziękowania..." „Do Polskiego Radia piszę ten list, że jestem miłośnikiem muzyki ludowej, mieszkam na ziemiach zachodnich w powiecie gryfińskim... bo my się nie możemy nasłuchać, jak ten Wesoły Autobus na antenie..."

Przy nadarzającej się sposobności pomówimy o potknięciach rozgłośni. Na zakończenie toastu trzeba przyznać: rozgłośnia prowadzi właściwą politykę, nie oderwała się od środowiska, opiera się na bardzo szerokim aktywie pisarskim i aktorskim Łodzi i tam, dokąd pozwala jej dotrzeć dziewięciokilowatowy nadajnik, docziera istotnie, ma swoich odbiorców.

TADEUSZ PAPIER

(Dalszy ciąg ze str. 1)

tofli i proszę o uznanie tego dnia".

Zuzanna P.

Wiele tego rodzaju kartek otrzymywały szkoły w tym czasie. Dobrze, że chociaż były kartki. To już jest coś! Ale na 9 z 10 absencji kartek nawet nie było. Zresztą nie tylko wykopki stały na przeszkodzie. Młoda nauczycielka z Przywidza, Maria Wróblewska, wyliczyła nam wiele powodów, dla których rodzice zatrzymują dzieci. Były tam wyprawy na targ do pobliskiego miasteczka, do kościoła w różne kościelne — nie drukowane czerwono w kalendarzu — święta, prace w polu i wiele innych. Wytłumaczcie nam teraz ile może być wart autorytet szkoły w oczach dziecka, które może się tak bezboleśnie migać od nauki, uzyskując w dodatku wysoką rodzicielską sankcję?

Inna nauczycielka, tym razem z Bałdrzychowa, skarżyła się na trudności ze ściągnięciem rodziców do szkoły w sprawach związanych z nauką ich dzieci. Niepromowanych było tu w w tym roku blisko 20%! Rodzice doceniają wprawdzie potrzebę nauki, ale nie dlatego, że widzą jakieś korzyści. Raczej ze zwyczaju. Same dzieci, też specjalnie do szkoły nie ciągną, bo nauka w wiejskiej szkole nie jest znów taka atrakcyjna. (A gdzie jest atrakcyjna?!)

W naszej wędrówce po pow. poddębickim odwiedziliśmy wiele szkół. Widzieliśmy tę najpiękniejszą chyba w województwie — nowowzniesioną szkołę w Uniejowie. Widzieliśmy nowe szkoły w Rudnikach, Bałdrzychowie, Pęczniewie. Są jasne, zelektryfikowane, przyjemne. Widzieliśmy też szkoły w Przywidzu i Kuczkach, mieszczące się w wynajętych chłopskich chałupach. Ale nie o pomieszczenie tu chodzi, choć to też ma swoje znaczenie. Chodzi o wyposażenie, o sposób przekazywania wiedzy; rozstrzyga to czy jest on stary — oparty na słowie tylko, czy też nowy — posługujący się nowoczesnymi pomocami. Niestety, ten drugi będzie możliwy dopiero w Uniejowie, tam gdzie zbudowano pracownię fizyczną, jest projektor filmowy (bez obiektywu na razie), a szkoła zradiofonizowana i posiada telewizor. W innych, cały wysiłek spada na nauczyciela, decydują jego umiejętności oratorskie, zasób wiedzy i kultury. A te, ciągle eksploatowane, wyczerpują się. Nauczyciel — jak wielbłąd — nie tylko uczy w szkole, ale i kieruje, prowadzi, organizuje... Pomaga środowisku jak może i umie. Tylko jemu, w tej najważniejszej pracy, w tej pracy, która stanowi sens jego pobytu na wsi — nikt nie pomaga.

DRUGIE WIELKIE SŁOWO: KULTURA DLA LUDU ALBO „KOPCIUSZEK" KTÓRY MOŻE WZRUSZYĆ

Józefa Tokarczyk przyjechała do Rudnik z Krakowskiego przed czternastu laty. W Rudnikach nie było jeszcze nowej, pięknej szkoły. Klasy mieściły się w starych, podworskich budynkach. Józefa Tokarczyk rozejrzała się uważnie dookoła i zaczęła... pakować walizki. Wtedy przyszli do niej chłopi i poprosili żeby została. Usłuchała, choć w duchu powiedziała sobie: tylko na rok. Minęło czternaście lat. Z rana uczyła w szkole, po południu kierowała zespołem teatralnym. Zespół wystawił „Kopciuszka". Matki płakały na sali. To był dla nich duży wstrząs; ten nicpoń, Józek, na scenie był królewiczem. Potem nieraz matki pytały o swoich synów, jak tam pracują w teatrze? Były z nich dumne. I tak praca zespołu teatralnego związała wieś ze szkołą. To nie przypadek, że właśnie w Rudnikach wybudowano nową szkołę. Powstała ona bowiem przy olbrzymim — prawie wyłącznym nakładzie materialnym wsi.

Również Bałdrzychów pomagał (ba! Ignarowska wieś!) przy budowie swojej szkoły. Dziś w Bałdrzychowie działa Uniwersytet Rolniczy. Jego pracami kieruje kierownik szkoły Edward Polak.

Rozmawiamy z przodującym słuchaczem tego Uniwersytetu sześćdziesięciokilkuletnim Romanem Kowalskim. Chwali sobie swoje uczestnictwo. Mówi o korzyściach jakie odniósł. Oglądamy jego gospodarstwo. Wszędzie czysto, porządnie. Przykro nam to stwierdzić, ale mało widzieliśmy na wsi tak utrzymanych gospodarstw.

ANDRZEJ MAZUR
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZTERY WIELKIE SŁOWA I HASŁO

Maria Wróblewska na tle swojej szkoły w Przywidzu fot. A. M.

Jest więc potrzebny na wsi Uniwersytet Rolniczy. Przynosi duże korzyści. Truizm? Truizm. Ale trzeba czasem mówić truizmy. Bo o kilkanaście kilometrów dalej w Wierzchach i Iwoniu ludzie myślą inaczej. A właśnie w Iwoniu przydałby się wspólny wysiłek przy kupnie maszyn, założeniu elektryczności i rozbudowie szkoły (mieszkania dla nauczycieli, sala gimnastyczna). Tymczasem ludzie tu boją się Kółka Rolniczego, bo chodzi po wsi gadka, że Kółka to początek kołchozów. A Uniwersytet... Cho, cho!

Przez chwilę wydaje się nam, że jesteśmy w posiadaniu klucza do pozytywnej pracy na wsi. „Trzeba żyć ich potrzebami, ich bólem" — powtarzamy sobie słowa Józefy Tokarczyk. Zgadza się z nami Marysia Wróblewska, młoda nauczycielka z Przywidza. Pracuje tu pierwszy rok, jest entuzjastką. Chce być „Siłaczką". Marzy o tym, aby uczyć starsze klasy, VI, VII, i móc przez dzieci oddziaływać na wieś. Sama pochodzi ze wsi i rozumie jej potrzeby. Zwołała już nawet zebranie rodziców w sprawie budowy szkoły w Przywidzu, ale... niewielu przyszło. Pracują, nie mają czasu na zebrania. Ustawicznie gonią za pieniądzem. Z troską myślimy o entuzjazmie Marysi, czy nie wypali się, czy nie załamie się. — Ten entuzjazm to jest to, co ma najcenniejszego.

Ale nie wszystkim uda się, jak Józefie Tokarczyk, która — poza wszystkimi oświatowo-kulturalnymi osiągnięciami zażegnała jeszcze „wojnę domową" jaką toczyły ze sobą dwie części wsi: ta chłopska i ta z reformy rolnej, osadzona na dworskich gruntach. Bo wiele młodych dziewcząt — nauczycielek „żyjąc ich potrzebami, ich bólem" — wżeni się w środowisko w złym, dosłownym i przenośnym znaczeniu. Skostnieje w tym. Przestanie oddziaływać, podnosić, promieniować — najprzód, żeby nie narazić się, a potem, bo już nie ma czym... Karmi kury, dogląda świń.

Kultura dla ludu. To wielki proces, w którym nie zrobi rewolucji, wielkiego skoku, praca jednostek. To musi być cały front kulturalnego natarcia. Wszelkiego natarcia. Tymczasem szereg środków, czy instytucji upowszechnienia kultury zawodzi. O wielu świetlicach zapomniano, a szkoła pozostała.

Nie, nie znaleźliśmy recepty na skuteczność kulturalnej pracy nauczyciela na wsi. To nie znaczy, że nie jest ona potrzebna. Jest potrzebna, ale — nie oczekujmy cudów!

TRZECIE WIELKIE SŁOWO: ŚWIAT WŁASNY NIEUTRACONY CZYLI OCZY BOLĄ OD SPANIA

Zrzedły nam nieco miny. Rozumieć cudzy ból, żyć czyimiś potrzebami — zgoda. Ale nie można przecież zapominać o własnych. A te są wcale niemałe. Praca od ósmej do trzeciej, nierzadko i dłużej. W tym czasie sklepy wyprzedają wszystko co rano otrzymały. Z zaopatrzeniem tu nie najlepiej. Nie ma mieszkań. Np. Maria Truszczyńska z Zadzimia zajmuje dwa malutkie, wilgotne pokoiki. Ze ścian leje się woda. Całe szczęście, (dla niej, oczywiście), że tegoroczna jesień jest taka sucha. Oglądamy jej mieszkanie i jest nam przykro. Nie możemy patrzeć jak ukradkiem ociera łzy. Chcemy jej pomóc. Cóż jednak zdziałamy poza tym, że napiszemy? Pomóc jej może tylko władza terenowa, a ta znalazła trzypokojowe mieszkanie dla weterynarza, ale nie może znaleźć suchego mieszkania dla nauczycielki. Pomóc może jej Inspektorat Oświaty, ale tam zapewniono nas, że w zasadzie w powiecie poddębickim nauczyciele mają odpowiednie do możliwości wsi mieszkania. W zasadzie! Odpowiednie! Przypuszczamy, ba! mamy pewność, że Zadzim stać na lepszy stosunek do nauczycieli.

Mieszkanie. Zaopatrzenie. Komunikacja. To niewątpliwie ważne czynniki kształtujące warunki życia nauczyciela wiejskiego. Ale jest jeszcze coś, co potrafi dokuczyć najbardziej — to samotność. W Iwoniu spotkaliśmy Irenę Wolską. Zazdrości małżeństwom. Powiedziała nam: „Małżeństwom to dobrze, ale dla nas samotnych to straszne. Siedzi się w czterech ścianach i sprawdza zeszyty. Można poczytać przy naftowym kopciuchu. Ale ile można? Wobec tego śpi się w zimowe wieczory, aż oczy bolą.... od spania.

Iwonie nie mają połączenia autobusowego z Łodzią. Do stacji kolejowej pięć-sześć kilometrów. Ale Iwonie to jeszcze nic w porównaniu z Kuczkami.

Kuczki leżą siedem kilometrów od Uniejowa. Obie te miejscowości łączy droga, którą ktoś złośliwy nazwał polską. Piaszczysta, wybeista. Szkoła w Kuczkach mieści się w trzech odnajmowanych we wsi pomieszczeniach. Trzy samotne nauczycielki mieszkają w drewnianym, położonym za wsią domku. Zimą drogę zasypuje śnieg, wiatr huczy ponuro. Jesienią i wiosną deszcz bębni jednostajnie po szybach. Brrr! A one są młode, mają po dwadzieścia lat i dopiero dwa lata temu zaczęły samodzielnie życie. Samodzielne czy samotne?

We wsi nic kupić nie można. Po wszystko trzeba jechać albo trzy kilometry do Wielenina, (taka sama dziura, tyle, że z maleńką spółdzielnią), albo osiem nad Wartą (inną drogą, rowerem nie przejedziesz) do Uniejowa. Wieś patrzy obojętnie i nieufnie na młode nauczycielki. Wieczorami chłopcy chodzą pod oknami. Podglądać.

Właśnie, chłopcy. Kiedy ma się dwadzieścia lat, to nie jest to sprawa obojętny, zapaleni telewidzowie oglądają program. A tu w Śpiemierzu było cicho i spokojnie. Księżyc wzeszedł i oświetlał pustą drogę do Uniejowa.

Świat własny, nieutracony... Z 900 zł miesięcznie można 100 przeznaczyć na książki i czasopisma, drugie tyle na teatr (bo taki jest koszt wycieczki do Łodzi). I to wszystko. Częściej nawet nie to.

Własny świat kultury wyższej musi przecież czerpać ze swojej strefy kulturalnej, w środowisku, w którym jest na codzień, może tylko oddawać. Jak długo można oddawać?...

CZWARTE, NAJWIĘKSZE SŁOWO: WYTRWAJ!

Świat własny — tak bardzo inny, bogatszy — kurczy się, ubożeje Więc co?

Była kiedyś dyskusja nad projektem Konstytucji. Zapamiętaliśmy głos Juliana Tuwima: NIECHAJ ODRĘBNY ARTYKUŁ NASZEJ NAJWYŻSZEJ USTAWY NADA WYSOKĄ RANGĘ SPOŁECZNEJ PRACY NAUCZYCIELA.

Nie ma takiego artykułu, ale nawet gdyby był — nie załatwiłby pewnie sprawy. Jest w Polsce front walki o szeroką kulturę wsi i Ty jesteś w jego pierwszej linii. Chodzi więc o to, abyś nie był sam. Ale choć jesteś sam — szukaj nadziei w wytrwaniu, nie w ucieczce!

Widzieliśmy Waszą pracę, słuchaliśmy Waszych skarg, dzieliliśmy Wasze radości. Wiemy — i Wy wiecie o tym równie dobrze — że Wasza praca jest solą tej ziemi.

Za dużo wielkich słów, co?

Ale trzeba, aby wszyscy o tym wiedzieli. WSZYSCY! Żeby zrozumieli, że nie możesz być sam na wsi, nauczycielu, bo nie podołasz. Bo wieków zacofania Twoja praca, najwytrwalsza, najofiarniejsza — nie skwituje!

Więc co, pytamy po raz drugi?

Po pierwsze — Twój autorytet. Ankiety socjologiczne uczą, że autorytet nauczyciela w mieście wzrasta; na wsi — nie. Bo na wsi jeszcze długo decydować będzie forsa. Kto ma pieniądze — ten mądry. I odwrotnie. To też sprawa kultury. Ale z błędnego koła wyjść trzeba. I można.

Nie potrzebujemy się blagować. Wiemy na co kraj stać, a na co nie. Stać na pewno na konsekwentne poparcie pozycji nauczyciela, w zakresie jego prawa do mieszkania, do opału, do uzyskiwania raz na miesiąc furmanki, do EGZEKWOWANIA POWSZECHNEGO OBOWIĄZKU NAUCZANIA. Wartości niewspółmierne, ale ich suma składa się na autorytet nauczyciela. Kiedy wieś gwiżdże, a gmina wrusza ramionami — nic nie zostanie z wielkiej misji prócz słów. Za czasów wilusiowego „kulturkämpfu" posterunki żandarmerii dostawały systematycznie wykazy szkolnych bumelantów — a rodzice płacili mandaty. Jak nie można do głowy trafić wprost, nie zaszkodzi przez kieszeń.

Po drugie — Ty sam. Masz świadomość, że nie idziesz naprzód, że stoisz w miejscu, że się cofasz. Książki, czasopisma, radio, telewizja — przybliżają Cię do świata, z którego czerpałeś. Ale to nie wszystko. To są tylko środki wzbogacające Twój udział w życiu społecznym. Ten udział zaś jest ostatecznym sprawdzianem, miernikiem Twojego wzrostu. On nadaje mu sens.

Tymczasem życie społeczne, to przecież środowisko równorzędne kulturalnie. Gdzie je masz? Wśród kolegów nauczycieli? Owszem, ale ciągle te same twarze, ciągle te same rozmowy. Czekasz niecierpliwie na rejonową konferencję. Nie o wyidealizowaną lekcję Ci chodzi. O część towarzyską, dyskusję, choćby zaimprowizowaną o świecie. Raz na dwa miesiące jeden wieczór. To mało...

Znów nie ma się co blagować. Nieszybko każdy nauczyciel wiejski będzie miał WFM-kę — choć to wcale nie jest dziś takie nierealne. Ale praca Związku Nauczycielstwa, może co nieco wyjść poza profesjonalne ramy. Można pomyśleć o współpracy — z ZMS, ze Zrzeszeniem Studentów, ze Związkami Zawodowymi. Jakieś wspólne imprezy, kontakty towarzyskie i kulturalne. Skorzysta z tego i wieś.

Skorzysta wieś przede wszystkim przez to, że Ty poczujesz się mocniejszy. Poczujesz się uczestnikiem szerokiej walki o kulturę wsi — a nie, jak dotąd nierzadko solistą w tej walce.

A więc dedykujemy Ci hasło, które oby stało się powszechnym

FRONTEM DO NAUCZYCIELA!

Prezydium mieści się w dawnej karczmie

TEKST I ZDJĘCIA KONRAD FREJDLICH

Interes idzie przed cmentarzem

KONTRABANDA

Jegomość raczej starszy, spodzień na nim wojskowy i but oficerski masywny, pod kolana. Tylko cyklistówka nie pasuje do tego.

— Jak się lepiej rozpędzić, to krok w lewo, krok w prawo i cała Praszka — mówi, a cięgiem poprawia na głowie oprychówkę.

Ani uwierzyć nie zdążyłem, ani kroku postąpić. Zza straganu pokazał się władza, kiwnął ręką: „A kto wy obywatelu jesteście?"

— Papiery jakieś macie, bo tu już jeden taki przyjeżdżał, co wcale nie był redaktorem!

— Mam — sięgnąłem do kieszeni — możecie sobie obejrzeć, jak chcecie, obywatelu!

Obejrzał. „A co wy tu chcecie robić?" — mówi.

— Jeszcze nie wiem, ale przyjdę na posterunek, to się zobaczy.

Zasalutował. A zbiegowisko już się koło mnie zrobiło, „co władza nakrył kapusia, obcego, który chce tutaj szpiegować na pewno". No, mój szef najlepiej powie, jaki ze mnie kapuś! Tylko szef daleko w Łodzi, a ja tutaj w Praszce na końcu województwa łódzkiego, a wieluńskiego powiatu. A ja w miasteczku, gdzie żyje 2.600 ludzi, barany na głównej ulicy Kościuszki, tutejszej Piotrkowskiej, przejmujący gwizd „ciuchci" i gospoda otwarta od ósmej do dwudziestej drugiej. Poza tym zakłady metalowe, szkoła zawodowa, internat i ośrodek zdrowia. No i ja jako „kapuś" na środku rynku w dzień targowy. Nie mogę jakoś zniknąć w tłumie, zmieszać się z ciżbą ludzi i wozów, z innymi wszystkimi, co się tu znają od dziecka. Psioczyć na siebie psioczą, ale obcego poznają zaraz.

Zawsze tu w środę taki tłok przy targu. Tłoczą się przy kramach z tandetą, przy furmankach z owocem. Kto zarobi stówkę, to do gospody. Gospoda — dwie izby z dużym szynkwasem, który zajmuje ćwierć salki. Kieszeń się skurczy to znowu na „targowicę" coś sprzedać. Aż tak pod południe wiara się znowu zejdzie w gospodzie. Biorą „litra siwuchy", szklanicami walą o stoły, aż brzęczy. „Hej, niech się dusza raduje, to pójdzie do nieba! A kto się radować nie chce, to go prędzej do piekła wysłać trzeba".

Był tu przed paroma tygodniami jeden robotnik z Wielunia. Rusin mu było. Wzięli go chłopcy z Praszki do gospody, niech stawia, bo jest obcy. Ale ten monter okazał się przebiegłą sztuką. Trochę popił, a dalej nie. Czegoś podobnego w Praszce już dawno nie było. Więc go chłopcy trochę zmacali sztachetkami, aż upadł, krew się z niego puściła. „E, udaje chyba ten przybłęda" — powiedzieli sobie Gońda i Michalski. A potem za nogi go, za ręce, rozbujali i przez płot. Stróż go nad ranem znalazł skrwawionego i prawie bez życia. Tak się tutaj to załatwia; za dawnych lat inaczej nie było, chyba jeszcze lepiej, bo granica z Niemcami o pół kilometra, a przez Prosnę, jak się lepiej rozpędzi, to i stara baba przeskoczy.

Liczyło kiedyś miasto stu dwunastu szewców: rzeźników osiemnastu, piekarzy sześciu. Przychodził luty, marzec. Do Praszki, ściągały tysiące chłopców i dziewcząt, starsi też, na punkt zborny. Cały ten tłum przez kilka tygodni nacierał wprost na miasteczko, szturmował pięć restauracji, lokował się po domach, w hoteliku, a biedniejsi to i na rynku pod straganami. A potem wszyscy do punktu zbornego. Ustawili ich w szereg i przechodzili granicę. Na „saksy" z samej Praszki szło na dorobek do Niemców po 600 osób, w tym czterysta pięćdziesiąt kobiet. Szli na poniewierkę i wyzysk, poskarżyć się nawet nie mogli, dopiero później Polska podpisała z Niemcami specjalną konwencję. Potem przychodził grudzień i powrót, wszystko zaczynało się od nowa.

Coś na cztery lata przed wojną urwało się to wszystko, nawet szmugiel już tak nie szedł, bo swoi i Niemcy strzelali. Ci, co się na szmuglu dorabiali przez dobre dwadzieścia lat, nie zbiednieli tak od razu. Ale i im nie było łatwo. Oszustwa były jeszcze większe i ludzie bili się chętnie, o byle co szły sztachety w ruch.

Teraz granica z Niemcami przesunęła się o dobre dwieście kilometrów, ale wpływ tamtej dawnej, na Prośnie, pozostał. Rzekę wyprostowano, a przez most II kategorii śmigają auta na Kluczbork i dalej do Opola. Z mostu, z dawnej granicy widać z jednej strony stację kolejową Zawisna, a z drugiej Praszkę, milicję, kościół i parę budynków. A przeważnie to łąki, trawy tu sporo. Pola uprawne też, region rolniczy. Żyje się tu z tego, co rola da. Robotnicy przychodzą zmęczeni do pracy w fabryce, po całodziennej harówce na swojej gospodarce.

Nie trzeba specjalnie po Praszce chodzić, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć. Ci ludzie są zamknięci w sobie, nawet księdzu wszystkiego nie powiedzą, ale za dużo gadają na rogach. Stoją sobie chłopcy, czterdziesta piąta woda po Cybulskim, dziewczęta na gankach, czasem z chłopcami, a stare baby, to nie wiadomo skąd się tu biorą. Pod wieczór życie przenosi się do gospody. Mężczyźni nad siwuchą cały czas w czapach, śpiewają nad kieliszkiem, kobiety, tutejsze przekupki też przychodzą na kolację z wódeczką, a ich córki — egzystencjalistki nawet palą papierosy.

A przecież ci ludzie nie są źli. Taki Stefan Nowak z Przedmościa nawet kumplem by mógł zostać, gdybym chciał w Praszce trochę dłużej pomieszkać. Wyszedł w wojskowych spodniach przed gospodę, chłopców co się gapili, odsunął.

— Z czego się śmiejesz? — mówi do jednego. — Będzie czas, że i ty do gospody przyjdziesz. Z czołgisty się śmiejesz, co Ełk, Elbląg zdobywał?

Wziął mnie pod rękę, poszliśmy do tej gospody.

— Znajdę cię, nie martw się — powiedział — znajdę, jak o mnie źle napiszesz, bo się podpisać musisz. A ja jestem człowiek spokojny, czołgista, Elbląg, Ełk zdobywałem. O starym czołgiście źle napiszesz?

No, i jak tu o nich pisać źle. Przecież oni źli nie są. Pili tak ich dziadowie, ojcowie, siostry, co szły na „saksy". Piją i oni, ale przecież mniej, już nie tak. Są zamknięci w sobie, nawet po pijanemu specjalnie się nie sypią. Ich dziadom to pijaństwo dodawało splendoru. Dzisiejsze pokolenie się dziwi, że im takie samo pijaństwo mają za złe. Nie mogą tego zrozumieć, zamknęli się w sobie. Nie powiedzą o tym co robią, tylko o sąsiadach, a tu się wie o każdym kroku. Ich dziadowie byli dumni z tego, że nic nie robili i dobrze się mieli. Granica utrzymywała wszystkich, szedł szmugiel na jedną i drugą stronę, a wódka to płynęła jak Prosna.

Wódka to i dziś płynie, ale nie tak. Nie wierzę, żeby młode pokolenie przyszło do gospody. Może tam który, to już inny świat. Jest w miasteczku tylko ten jeden zakład przemysłowy, zatrudnia 280 osób, o pracę nie jest łatwo. A robią w fabryce i ludzie z okolicznych wiosek, z Kowali, Strojca, Przedmościa. Mają oni przeważnie własną gospodarkę i nią się zajmują. Wydajność pracy jest niska, a ludzie mają złe przyzwyczajenia i wynoszą części motocyklowe. Wciąż jeszcze trwa atmosfera granicznego miasteczka. Część pracuje na Śląsku, przyjeżdża do Praszki tylko na sobotę. W sobotę wieczorem wódka, a w niedzielę od samego rana. Pod wieczór każdy z walizką, na dworzec i na Śląsk. Powtarza się to co tydzień. Na to wszystko patrzy młode pokolenie, pokolenie piętnastolatków, rówieśników Ludowej. Oni są do tych pijaństw ustosunkowani krytycznie, oni drwią z tych czterdziestoletnich byczków którzy dzień zaczynają w gospodzie. Stefan Nowak, choć jest swój chłop, to racji nie ma. Oni mogą do gospody nigdy nie przyjść, jak się im da jakąś rozrywkę, jak się ich nie zostawi samopas.

Stoją ci chłopcy przed gospodą, drwią. Są ciekawi życia, więc obserwują. Palą czasem papierosy przysłaniając usta dłonią z lekceważeniem. Bo są za bardzo dorośli na swoje piętnaście lat.

— Zapali pan — pyta jeden — chociaż wy tam w Łodzi lepsze palicie? A my tu wszyscy „Sporty", bo skąd pieniądze brać?

— Ja już nie takie paliłem, z suszonych liści też paliłem. A dziewczyny u was są ładne?

Tego im było trzeba. Chcieli mnie już do Gorzowa, cztery kilometry ciągnąć, bo tam liceum i wszystkie dziewczyny z Praszki jeżdżą rowerami do szkoły. Tutaj w każdym domu chyba są rowery, a w niektórych po siedem, dla każdego. Pod wieczór wszystkie rowery wracają długim sznurem. Wiosną i jesienią to nawet przyjemnie. Ale zimą to i chłopy, co wypili na rozgrzewkę, chuchają w dłonie i przytupują nogami.

Była kiedyś w Praszce szkoła ogólnokształcąca. Tęgie o nią toczyli boje, sam kurator przyjeżdżał z województwa. Szkoła powstała, obok niej zawodówka, bo fabryka potrzebuje fachowców. Fabryka w ogóle ma szanse rozwojowe, a z nią i ludzie. Potem ogólniak zamknęli w Praszce, a otworzyli w Gorzowie, za rzeką. Zawodówka pracuje ładnie, ma szanse na przekształcenie w technikum, buduje się dwa piętra dodatkowo, nauczyciele są wysoko kwalifikowani. Są kłopoty, jak zawsze, bo brak mieszkań dla nauczycieli.

— E — powiadają ludzie — poprawdzie zawodówka powinna być w Gorzowie, a ogólniak w Praszce.

Taki to lokalny patriotyzm, ale podobno Gorzów przeszkadza powstaniu gimnazjum w miasteczku. Zazdrość to zrozumiała, choć Praszka ma więcej powodów do zazdrości. Za rzeką zaopatrzenie jest lepsze, tutejszy GS nic się nie stara. Tam — doskonałe połączenie kolejowe z województwem, tu — pociągiem trzeba się tłuc pół dnia, więc tylko autobusy zostają.

Takie są kłopoty, o których wiedzą wszyscy, o innych dopiero w Prezydium można się dowiedzieć.

Położone jest ono ładnie, w środku rynku. Przed wojną w tym samym budynku była karczma. Właściciel wiedział, gdzie stawiać mury, żeby szedł handel. Więc teraz Prezydium stoi pryncypialnie, świeży tynk, a w środku kino, biblioteka, urząd wreszcie. Przewodniczący się tu zmieniali często a ostatniego nie tak dawno wyprowadzono bez jego wiedzy, do jakiegoś baraku, bo mieszkał wciąż w pomieszczeniu służbowym, choć od dwóch lat pracuje gdzie indziej, podobno w Kluczborku. Ludzie trochę pogadali, że to gwałt, tak bez wiedzy wyprowadzić gościa, ale ucichło, jak to na prowincji. Były nowe sensacje. Bo taki Górski, zdawałoby się człowiek dojrzały, poszczuł psem małą dziewczynkę. Coś w maju znów siedmiu pobiło się w gospodzie. To znów któryś miejscowy uderzył milicjanta młotem w głowę, ponoć bez złości, chciał tylko zobaczyć jak to wygląda, bo Paramonow też młotkiem walił. A ostatnio sensacja największa — osiemnaście osób zatruło się mięsem. Dozorca rzeźni wyprawiał jakieś wesele, przyjęcie, dobrze nie wiadomo. Do rzeźni, jak to do rzeźni, przywożą bydełko zdrowe i nie. Chore oddaje się do rakarza, ale się nieraz udawało na własną rękę zrobić z chorego kiełbaskę. Aż tu takie zmartwienie, dwoje dzieci umarło, kuzynki, szesnaście osób chorych.

Idę po schodach na górę, świeżo umyte, białe. Potem już w urzędzie tego i owego zagaduję, że przewodniczący zmieniają się często.

— Zna pan takie porzekadło: „Świeża miotła dobrze zamiata"? — mówi młoda dziewczyna w Prezydium. — A tu trzeba dobrze zamiatać, tak od samej Prosny, od granicy.

Ale już się drzwi otwierają, przewodniczący ob. Pamuła prosi do gabinetu. Gadamy o tym i owym, pomagamy sobie wzajemnie.

— Kłopotów tu, jak to mówią, dużo — stwierdza — nawet za dużo. Dużo się u nas robi, asfalt, kosze nie — kosze, ławki nie — ławki. Robimy nową targowicę, odnawiamy cały rynek, jak to mówią, stawiamy też stację benzynową.

— No — mówię — śmiało, ze mną można o wszystkim.

— To ja już panu powiem,

CZY MŁODZIEŻ WYMYKA NAM SIĘ Z RĄK?

(Dalszy ciąg ze str. 2)

kilka pozycji. Faktycznie jednak historia literatury urywa się na Młodej Polsce. Już dwudziestolecie traktuje się „po łebkach", podczas kiedy w miarę cofania się wstecz opracowania stają się coraz bardziej drobiazgowe i tak jak za dobrych, dawnych lat, tak i dziś jeszcze walkuje się bez litości „Pana Tadeusza", „Dziadów", a z okresu pozytywizmu, ciągle i niezmiennie rozbiera się na czynniki pierwsze „Placówkę" Prusa choć to i czas i problemy nieco odległe. Nie chcę tu uchybiać naszym wieszczom bądź laureatom Nobla ale chodzi mi tylko o zachowanie pewnych proporcji. Osobiście nie sięgam nazbyt często po „Pana Tadeusza" tak mi dokumentnie obrzydzono tę lekturę na szkolnej ławie. Być może jednak, że niegdyś było to potrzebne i słuszne. Ale dziś należałoby poddać to wszystko rewizji, unowocześnić i przywrócić zachwiane proporcje, boć życie idzie naprzód, niesie nowe prądy, nowe myśli, i młodzież nie chce iść z odwróconą wiecznie głową. Interesują ją zagadnienia współczesne i młodzież chce wiedzieć czy współczesna literatura, sztuka wypadły, jak to mówią „sroce spod ogona" czy są one wynikiem pewnej ciągłości historycznej kultury. W programach uczelni pedagogicznych na temat zagadnień kultury, sztuki, filozofii współczesnej (Sartre, Russel np.) istnieje zmowa milczenia. A programy szkolne są już tylko naturalną konsekwencją sposob nauczania kadr nauczycieli.

Stąd kłopotliwe sytuacje, stąd mylne opinie o młodzieży niektórych tkwiących w starzyźnie po uszy pedagogów, stąd uczucie wymykania się i w konsekwencji utrata autorytetu nauczycielskiego. A młodzież pozostawiona sama sobie błądzi po omacku i szuka prawdy na własny rachunek. Wyniki są różne. Znamy np. swoiste interpretacje filozofii egzystencjalizmu, swoiste interpre-

ale niech pan ich tam dobrze w województwie szturchnie. Robimy, jak to mówią stadion, dostaliśmy sto dwadzieścia tysięcy, w WKKF obiecali jeszcze sto w tym roku, nie dali, a ludzie, jak to mówią, trzy miesiące pracują darmo. Jak się do tych panów od sportu pisze, to nawet nie odpowiedzą.

No to ja ich szturcham, może się obruszą i choć do redakcji napiszą jak im Praszka za mało ważna. Przecież sport jest tu najlepszą formą walki o młodzież.

Są tu kłopoty inne, z winy miejscowych. Wody jest niby dużo, bo z jednej strony Prosna, z drugiej znowu „Śmierdząca", co się na niej most zarwał i teraz budują nowy z betonu. Ale wody do picia mało, jedna studnia na rynku i pół miasta z kubełkami w kolejce. Prezydium postawiło dwa bloki, chciało teraz przeciągnąć wodociąg, miał iść przez dwie posesje prywatne. Ale właściciele, dusze harde a zakute, podnieśli protest. Trzeba teraz rury ciągnąć naokoło, dodatkowe koszty, a miasto na wodę poczeka.

Wyszedłem na rynek, do tej studni, co poi pół miasta.

— To jak tutaj, babciu, jest z tą wodą? — zagaduję kobiecinę w chustce, co już dobre sześćdziesiąt lat nosi w grzbiecie.

— A co pan za jeden — zmierzyła mnie babcia.

— Dziennikarz — mówię — piszę do gazet.

— To, panie dziennikarzu, z wodą dobrze nie jest, ale żeby tylko z wodą.

— A cóż to znowu? — dopytuję się. Zbiegowisko się wkoło zrobiło.

— Przed cmentarzem świętym, co nieboszczycy od setek lat spoczywają w pokoju bożym... E, albo i panu powiem. Jeden taki żużlu nawiózł, śmiecia, pustaki produkuje. Śmiecie takie, gnojowisko w świętym miejscu. Cała ulica się z nim za kudły drze, ale on mocny panie, że hej!

To ja sobie spokojnie podreptałem na cmentarz, obok kościółka, który malują, przez most, co się buduje. Ten i ów za mną poszedł, ale się wrócili. Przed cmentarzem żużel w kupach, całe usypisko, warczy jakaś maszyna i pustaki stoją ustawione równiusieńko.

— Pani Sieradzka procesuje się z Szymańskim — powiedzieli mi w pierwszej chałupie, jak na dach wlazłem, zdjęcie robić.

Do Sieradzkich niedaleko. Matka z córką posadziły mnie w kuchni, pokazują papiery, a zegar (kukułka chyba), tyka uporczywie. W którym to wieku jesteśmy, że ludzie bójki toczą o przysłowiową miedzę?

— Przed dwoma laty Szymański się wdarł na posesję przed cmentarzem, choć mamy współposiadanie — zaczęła pani Helena.

Od tej chwili trwa święta wojna, obie strony zastawiają się cmentarzem, a i ksiądz się włączył do tej walki. To Sieradzki wjechał koniem na sporny placyk, rozgniótł kilka płyt, to znów Szymański szlachetką się zamierzył na panią Helenę. — Będziesz śmiecie wynosić kominem, bo ci przez moją ziemię przejść nie dam — powiedziała jedna pani. Druga jej odburknęła. Trwa spór między dwiema rodzinami, cała ulica podzieliła się na dwa obozy. — Nic nie zwojujecie, bo ja sąd mam w kieszeni — klepnął się Szymański po udach. Sąd jest zarzucany aktami oskarżenia, obie strony nie dają za wygraną, tylko żużel jak leżał tak leży przed cmentarzem.

Wysłuchałem argumentów obu stron, kto ma rację nie wiem, bo nawet sądowi trudno jest rację ustalić. Zjeżdżały już komisje, spór trwa od nowa.

— Ksiądz na mnie zły — powiedział Szymański — ulicę podburza, ale ja żużel zwiozłem, żeby robić drogę na cmentarz. Kazał mi ksiądz tę drogę robić, teraz znowu nie chce, czeka, że darmo zrobię, ale się nie doczeka.

Oj babciu, babciu, czemuś mi przy studni nie powiedziała czegoś dobrego. Nie mogę przecież uwierzyć, że ludzie na prowincji tylko piją, poszturchują się szlachetkami, bo płotów by wkrótce zabrakło, i kłócą się o miedzę. A chodziłbym tak z wątpliwościami, gdybym nie spotkał pana Jungowskiego, społecznika, ale nie z tych, co za społeczną robotę biorą pieniążki. Jungowski przeszedł niejedno, bo i w Buchenwaldzie był jako numer 230, ale przeżył. A teraz ma lat osiemdziesiąt i jeden. Prowadzi tu kółko sceniczne, dają występy w remizie, bo tu wszelka kultura jest pod auspicjami straży pożarnej. Kółko powstaje, rozpada się na nowo, bo wszyscy są z dużymi ambicjami, każdy chce być Janczarem albo Modrzyńską. Ale się to kółko od paru lat jakoś telepie, czasem przyjeżdża teatr prawdziwy z Łodzi i Opola. Kino jest cztery razy w tygodniu, salka maleńka, duszna, bo przedsiębiorstwo, które prowadzi budowę nowego kina, gwiżdże na wszelkie umowy. Zabawy są często, może nawet za często, a na zabawach wódka, choć mniej tego niż przed wojną, dużo mniej.

— Ech, panie, gdyby się tak dobrze młodzieżą zająć. Oni nie są źli, choć niektórzy biją, wyśpiewują po nocach, piją na umór. Jak tutaj była granica, to co dużo gadać, strach było mieszkać — mówi Jungowski, a on tę granicę pamięta dobrze, te pochody na „saksy", te pijaństwa w czasie powrotu, te dziewczęta z pękatymi brzuchami, te płacze, lamenty. Psychologia granicy powoli ustępuje.

Tak to wygląda Praszka w obliczu pięćsetlecia, w obliczu Jubileuszu, bo praszkowiacy chcą dobrze uczcić swoje poczęcie. Przyjeżdżał już prof. Konrad Jażdżewski z Łodzi, robił wykopaliska, znaleźli jakieś naszyjniki, groby stare, ślady kultury łużyckiej. Leżały sobie w ziemi jakby protestując przeciw Niemcom, którzy się panoszyli o pół kilometra od tych grobów, relikwii. Na dalsze prowadzenie prac zabrakło pieniążków. Praszka się teraz stara o dodatkowe fundusze. Powstał już specjalny komitet obchodu jubileuszu ma zamiar wydać monografię miasteczka, robi doprawdy wiele, ale środków brak. Są tylko fundusze na tynkowanie rynku. Więc go tynkują. Praszka młodnieje. A jeśli dodać auta, których jest w Praszce dziewięć rodzi się nowe miasto dwudziestowieczne.

— Kto tu ma auta? — zagaduję na rynku chłopców ze szkoły. — Same grube ryby, no nie? — spluwam na ziemię przez zęby, jak oni.

— No, lekarze mają auta, a i szewcy, dwaj bracia i ich kuzyn, każdy po jednym. A u nas to jest dużo motocykli, przecież pan zna, nie trzeba tłumaczyć. I kursy u nas są, szkoli się po osiemdziesiąt osób. Jak się jeden kurs skończy, to robią zaraz drugi.

Takie jest tutaj pokolenie najmłodszych, jedenasto, dwunastoletnich, może i czasem przemądrzałe, ale już dwudziestowieczne, które się śmieje z ozdóbek tandetnych na rynku, ale ma już rozmaite ambicje. Mówi o technice, filmach, sporcie.

Praszka ma to do siebie, że wszystko tu widać jak na dłoni, że się nic ukryć nie da, choćby się ukryć chciało. Mimo pozornej jednolitości, mimo stosunków familijnych, każdy tu żyje swoim życiem, choć dużo więcej żyje życiem innych. Nie ma tu środowisk odrębnych, wszyscy się spotykają w tej samej gospodzie, w kinie, kościele, na rynku, nie mą jeszcze życia towarzyskiego. Tylko te pulchne dziewczyny na rogach, które koniecznie chcą wyjść za mąż, tylko ci ludzie jakby przygarbieni, bo tu wszyscy chodzą z balastem — za dużo wiedzą o innych.

I jak tutaj przed odjazdem nie zajść znowu do gospody, na piwo choćby, bo za dietę wódki nie będzie, jakże nie spojrzeć na to wszystko raz jeszcze? Chłop tęgi przysiadł się do mojego stolika.

— Pan nie jest stąd — mówi — bo ja tu wszystkich znam.

— Chyba się o to nie pobijemy, dziadku — powiedziałem spokojnie.

— Nie wiem jak ci z oczu patrzy, ale ci jedno powiem — poczułem ciepły oddech dziadka gdzieś na szyi. To był taki oddech gorący, bo i gorzałka w nim paliła.

— Ja przez granicę przechodziłem parę razy, setki razy, worek mąki na plecy, Niemcy do mnie strzelali, ale było można zarobić. A te dzieciaki przed gospodą, co tam się gapią nie wiadomo na co, potrafią tak? Mój syn też chodził na szmugiel, żyło się, a dziś tylko to mi zostało, bo syn w Oświęcimiu...

Ej, dziadku, to jest szmugiel najniebezpieczniejszy, kontrabanda najtajemniejsza. Bo wy, bo ty, dziadku, szmuglujesz do wieku dwudziestego kategorie świata, który się skończył z granicą na Prośnie.

KONRAD FREJDLICH

---

tacje lektury Saganki. Borykanie się i bezsilność wypływająca z niemożności zrozumienia nowoczesnego malarstwa i nowoczesnej poezji, bezsilność, którą ma osłonić kabotyńska poza przegranego pokolenia. I w tej sytuacji my z maniackim wręcz uporem każemy tym młodym zagubionym ludziom analizować drobiazgowo problemy społeczeństwa z okresu pozytywizmu, pokrywając milczeniem sprawy świata, w którym młodzież ta żyje... który bądź co bądź, obfituje w ciekawe zdarzenia, przynosi wiele problemów, z którymi trudno dojść do ładu. Toż to oczywisty paradoks. Anachronizm, który może drogo kosztować. Strat moralnych jednak nie da się przeliczyć na pieniądze i może dlatego nie potrafimy się nimi przejąć na serio. A szkoda...

T. ZWIERZCHOWSKA

Redakcja w zasadzie zgadza się z tezami powyższego artykułu. Uważamy jednak za nasz obowiązek powiadomić zainteresowanych, że od pewnego czasu specjalna komisja ministerialna pracuje nad 8-letnim programem nauczania podstawowego. W programie tym — jak nas miarodajnie poinformowano — będą również uwzględnione słuszne postulaty unowocześnienia nauki szkolnej.

Przesłuchanie TADEUSZA MARKOWSKIEGO na okoliczność 25 lat pracy w Radio

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Włączono magnetofony. Z głośnika płynie sygnał Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Potem dramatyczna muzyka wyrażająca w wielkim skrócie całe burzliwe życie reżysera TADEUSZA MARKOWSKIEGO.

Następnie dialog:

Profesor: Markowski, gdzieś ty się urodził?...

No? Nie uśmiechaj się ironicznie, tylko mów...

Co, nie wiesz, gdzieś się urodził? Markowski, co z tobą? No?

Markowski: Nie pamiętam.

Profesor: Jak to, nie pamiętasz?

Markowski: Bo to było tak dawno.

Profesor: A ile ty masz lat?

Markowski: Dwanaście, panie profesorze.

Ta autentyczna scenka rozegrała się w trzeciej klasie gimnazjalnej w Lublinie. Do dziś nie wiem, co mi wpadło do łba, żeby się nie przyznać, że urodziłem się w Horodence. Czy dlatego, że śmieszna nazwa Ho-ro-den-ka źle by zabrzmiała w murach przyszłej stolicy Polski Ludowej, czy dlatego, że ze wzgórz horodeńskich widziało się trakt do Zaleszczyk, które w przyszłości itd. itd. Dość, że przez długi czas nie chciałem się przyznać, gdzie się urodziłem.

Dzieciństwo miałem dramatyczne, ale szczęśliwe. Dramatyczne dlatego, że w domu wymagano ode mnie, abym był prymusem. A ja tak bardzo nie lubiłem dzielić się z profesorami moją wiedzą, że mój wieczorny paciorek kończyłem modlitwą: „Boże, Panie Boże, daj bym jutro nie był z niczego pytany".

Moi rodzice byli niewierzący. To znaczy nie wierzyli mnie, a raczej profesorom, więc opacznie sobie tę moją skromność tłumaczyli.

Dzieciństwo miałem jednak szczęśliwe. Bo w domu nie było za dużo pieniędzy. A przecież pieniądze nie dają szczęścia.

Ojciec małorolny... urzędnik (rozumiem przez to, że nie pełnił roli np. starosty) wyznawał bardzo staroświeckie zasady. A więc: „bez pracy nie ma kołaczy" — a nie: „czy się stoi, czy się leży..." „Nie wolno — to nie wolno", a nie „nie wolno — to prędko". Więc skąd miała być forsa? I po co? Na co w dawnych czasach potrzebne były pieniądze. Na jedzenie? — Taniocha! Na ubranie? — Nosiło się je latami! Na teatr? — Teatr, jeżeli przyjeżdżał, to ukraiński, a dom był patriotyczny. — Fortepian, jak w każdym porządnym domu, już był. Kina, jeszcze nie wymyślili, radia i telewizji również, a o istnieniu samochodu dowiedziałem się chyba ze strzałów w Sarajewie... Bo w samochodzie jechał wtedy nasz niedoszły cesarz Ferdynand.

I zaraz wybuchła wojna. Z wojny to mi się najbardziej podobały orkiestry wojskowe i pijani żołnierze. — To było moje pierwsze zetknięcie z muzyką i z tzw. hulaszczym życiem.

Ponieważ wojna przedłużała się, rósł repertuar marszów wojskowych. I to różnych narodów. Trzeba je było jakoś zapamiętać, poszufladkować. Nuty? No tak, ale moja znajomość nut była bardzo jednostronna. Jako „żywy pulpit" (taki chłopak, który trzyma nuty przed grającymi na rozlicznych „plac-muzykach") widziałem nuty tylko od strony okładki. Trzeba się było nauczyć grać. Ale na czym? Na czym najłatwiej? Oczywiście na ustach. Zacząłem więc trąbić na ustach te swoje marsze. To mnie zbliżyło z kolei do hulaszczych żołnierzy różnych armii, których zabawiałem moimi występami.

Bardzo to było wesołe. Moim rodzicom wojna mniej się podobała, więc kiedy nareszcie dobiegła końca, przenieśliśmy się do Lublina. Byle, jak najdalej od kresów!

Po maturze jako autor paru ręcznie pisanych tomików wierszy poszedłem... dokąd? — Oczywiście na... polonistykę. W Poznaniu to było. Ponieważ marsze wojskowe na jakiś czas wyszły z mody, pijani żołnierze również, próbowałem zabawiać moje pierwsze miłości, ich bardzo trzeźwe mamusie i przyszłych ich mężów fragmentami symfonii podsłuchanych w poznańskiej filharmonii. Nie brało. Nauczyłem się wtedy na pamięć 5 aktów dramatu K. H. Roztworowskiego „Kaligula". Sam kreowałem: Kaligulę, jego żonę, kochankę, patrycjuszy i niewolników, spiskowców i chór. Oczywiście z towarzyszeniem orkiestry. Po dwóch godzinach szamotania się jak w amoku kończyłem występ zziajany i ochrypły. Mamusie moich miłości mówiły z uznaniem: „Bardzo ładnie, ale po co tak się męczyć? Czy nie szkoda zdrowia?" — Czegóż się jednak nie robi dla miłości? (...w ł a s n e j).

Ten zwariowany teatr jednego aktora zbliżył mnie jednak do prawdziwego teatru — ściślej mówiąc — do sekcji dramatycznej przy Kole Polonistów, którą prowadził m. in. młody aktor Janusz Warnecki. To zbliżenie pozwoliło mi wystąpić w sztuce Emila Żegadłowicza „Betsabe" w Poznańskim Teatrze Nowym (rok 1927). Towarzystwo było wcale... wcale... Sztukę reżyserowała Stanisława Wysocka, grali m. in.: Irena Solska, Karolina Lubieńska, Franciszek Brodniewicz, Kazimierz Korecki, Michał Melina, Juliusz Łuszczewski i młody aktor (po ośmioletniej dopiero praktyce) Stanisław Łapiński.

Sztukę zaczynał Natan (Korecki).

— „Jutro, królu Dawidzie poranny u ciebie gość. Uriasz Hetejczyk o rannej przyjdzie straży".

Szum w radzie przybocznej. „Usłyszymy z ust jego jak nam się na wojnie darzy".

Korecki: „Rada w znaglonej potrzebie pragnie przemówić do ciebie".

Brodniewicz: „Niech mówią!"

Łapiński: „Wojnę wszczęłeś, Dawidzie, z synami Amonowymi, wojna trwa, a czas się dłuży. Raczej by pokój zawrzeć z nimi".

Ja: „Naród nuży"!

Wysocka: „Nie słyszę, ciebie — ciebie — mały nie słyszę. Do króla się zwracasz, nie do siebie. Więc nie możesz brzdąkać sobie pod nosem. Jednak statyści nie powinni mówić".

Zapomniałem państwu powiedzieć, że w „Betsabie" wystąpiłem wraz z kolegami z Koła Polonistów jako statysta za 50 gr.

Bardziej równouprawniony charakter miały może kontakty z młodą literaturą poznańską. Z tych kontaktów wynikła w r. 1928 audycja radiowa pt. „Wiersze o wiośnie i miłości". W programie: utwory Józefa Kisielewskiego (tego od „Ziemia gromadzi prochy") Janusza Stępowskiego („Żywe szachy na Wawelu" — poezje morskie) no i T. Markowskiego (dzisiejszego jubilata). Wiersze recytowali aktorzy przebywającej wówczas w Poznaniu Reduty. M. in. Edmund Wierciński i Jadwiga Chojnacka (tak, tak, tak, to nie żart, Dziunia też nie wierzyła, kiedy jej to po 30 latach starałem się przypomnieć). Audycję młody spiker poznański Bolesław Busiakiewicz zapowiadał, jak na nowicjusza, poprawnie. Z małym wyjątkiem. Imię jednego z współautorów audycji brzmiało na antenie zamiast „Tadeusz" — „Zenon".

Na tej audycji moje kontakty z radiem na razie się skończyły.

d. c. n.

Inżynier na stanowisku, stan wolny, przystojny ok. lat 30 pozna panią, samodzielną, do lat 25 (najchętniej brunetkę) wykształconą — cel matrymonialny. Zgłoszenia kierować do Biura Ogłoszeń nr..

Ogłoszenie tej treści ukazało się w jednym z łódzkich pism. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że kilka dni później w piśmie krakowskim ukazało się to samo ogłoszenie z lekko przeredagowanym ostatnim zdaniem:

...pozna w celach towarzyskich.

W warszawskim dzienniku to samo ogłoszenie miało dwie zmiany:

...pozna (najchętniej blondynkę) w celach towarzyskich, matrymonialnych — niewykluczone...

Postanowiłem poznać owego niestrudzonego „pożeracza serc niewieścich", kandydata na męża, przyjaciela lub towarzysza.

Bowiem udało mi się stwierdzić, że pod trzema różnymi numerami, w trzech różnych miastach krył się jeden człowiek, łodzianin inż. Zdzisław P.

Tajemniczy „Casanowa" rósł w moich rojeniach do postaci cudownego Apollina, a jego awanturki miłosne do pikantnych historii, tryskających dowcipem i inteligencją. Piękne byłoby życie reporterów, gdyby nie doznawali zawodów; niestety, tym razem musiałem przeżyć gorycz zawodu.

Portret „bohatera" wyglądał nieinteresująco.

Fryzjerska uroda — skwitowałem swoje pierwsze wrażenie.

Zdzisław P. na ulicy, w kapeluszu i „rozwianej" dyplomatce nie posiadał „warunków" — imponującej, chybotliwej w biodrach, sylwetki „gangstera miłości", przed którym kobiety padają jak „muchy".

Niewysoki człowiek o wyglądzie urzędnika, szedł jak zwykle w nowy, nieznany rewir. Towarzyszył mu przylepiony do wargi papieros i ów nieodgadniony uśmieszek. Zwykły kolejny „wieczór", może kolejna noc?

IDEALNY MĄŻ — CZYLI MODEL PEWNYCH PAŃ

— Co twój mąż wyprawia przekracza wszelkie granice — mówiła do żony p. Zdzisława jej przyjaciółka.

— Pluję na granice — odpowiedział Zdzisław na wymówki żony. — Ja mam wszystkiego dość!

Miał dość, ale z domu nie odchodził, choć nieraz straszył rozwodem.

Kiedyś nawet na tym tle popełnił małe oszustwo. Podrobił wezwanie do sądu na świadka. Wymazał właściwy cel i dopisał: — „w sprawie obyw. rozwodu przeciwko żonie Beacie".

Sprawy jednak nie wytaczał. Pisał nieraz coś zawzięcie, kryjąc przed żoną swoją korespondencję. Sam odnosił do skrzynki pocztowej stosy listów. Nigdy jednak nie przychodziła jakakolwiek odpowiedź. Kiedyś jednak przez przypadek Beata spostrzegła na teczce męża grubą paczkę listów, adresowanych do Biura Ogłoszeń różnych miast.

Zdzisław zauważył zdumienie żony. Jak wytrawny karciarz rzucał jej przed oblicze wyznania, zdjęcia kobiet, deszcz kopert. — „Masz przeczytaj: oto one biją się o moją miłość. Ty zaś jesteś już stare pudło, kretynka". Beata dowiedziała się, że mąż dawał ogłoszenia matrymonialne.

Machnęła ręką. Może się opamięta? A wtedy, gdy nocował w domu, błagała: — „Słuchaj, tylko jakbyś przyniósł jakąś chorobę, tego bym ci nigdy..." Zakazy, normy moralne dawno już nie obowiązywały. Granicę „posunięć" wyznaczały tylko tajemnicze gonokoki. Ale o tym nic nie mówiły listy. Nieznane nadawczynie stawiały na miłość lub pozyskanie pana inżyniera.

ICH LEGION

Same drogi, po jakich doszedł do posiadania tych listów, mogłyby służyć jako materiał do fascynującego reportażu. Ale dane słowo obowiązuje, nie zdradzę nazwisk — trudna rada, przechodzę więc do listów:

Szanowny panie! — Tak zaczyna się list pierwszy — *Z uwagą przeczytałam pańską ofertę w „Echu". Wydaje mi się, że posiadam wymagane walory osoby, którą pragnie pan poznać w celach towarzyskich. Jestem brunetką, mam 19 lat, ważę 49 kg (podobno ładna). Poza tym jestem jeszcze dziewicą.*

Mam brata, starszego o 2 lata, także studiuje w AGH. Rodzice nasi są zamożni. Posiadamy 2 wille, odnajmowane corocznie przez 10 miesięcy (jedną niedaleko, Szczakowej, drugą w Bukowinie Tatrzańskiej). Gdyby pana interesowała moja oferta ew. zdjęcie (może być nawet częściowy akt) proszę napisać na adres: Jadwiga S. Kraków..

Diabli wiedzą, co podkusiło mnie, by pojechać śladem tej oferty do Krakowa. Może „Sexbomba" albo wille?

Pani Jadwiga napisała tylko prawdę, że ma 19 lat, Część prawdy jest w tym, że studiuje (w „Warszawiance") zaś (istotnie o dwa lata) starszy brat — w miejscowości pod Bydgoszczą zwanej Fordonem. Jest już na „ostatnim roku", wymierzonym przez Sąd Wojewódzki w Krakowie.

Stary szatniarz „Warszawianki", po trosze „wykidajło", na moje dyskretne pytania o p. Jadwigę (starałem się zrobić wrażenie zainteresowanego gościa) złapał się bez ceregieli za ucho, co w krakowskim geście oznacza że „można" ale trzeba płacić...

Tego listu nie potrzeba kwitować żadnym komentarzem, ale są i inne.

„Jestem dyplomowaną położną w wieku pana, spokojną, zrównoważoną domatorką, lubiącą rozrywki kulturalne — podobno miła.

Gdyby panu odpowiadała moja oferta proszę zadzwonić pod numer.... (w godzinach popołudniowych)"

Nieznajoma

Zdzisław P. zatelefonował, by dowiedzieć się ile „nieznajoma" zarabia na miesiąc „łącznie". Wystarczało to na przyzwoite utrzymanie, ale musiałby zdecydować się na „normalne życie" z kobietą w jego wieku. Nie tego stanowczo nie pragnął. Wybrał się natomiast w odwiedziny do smarkuli, która „irytowała go tonem swojego listu" — jak zwierzał się do przyjaciół.

Pisała:

„Bardzo przepraszam, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę panu. Nie myśl pan sobie, że zaliczam się do kobiet, które sądzą, że odwiedziny u nich do czegoś upoważniają. Nie sądź pan, że jak masz dyplom inżyniera to zaraz będę usiłowała zrobić jakiś zamach. Doprawdy podziwiam pana, nie znając mnie już zawczasu się tak zastrzegać. Przede wszystkim ja jestem młoda (35 rocznik), pochodzę z rodziny inteligenckiej i też miałam ojca inż. mechanika i sama byłam studentką.

A poza tym do miłego zobaczenia panie inżynierze. Będę czekała, proszę przyjechać do Zgierza.

Zofia.

Dalej jest szczegółowe objaśnienie jak pan inżynier najlepiej trafi do p. Zofii. Skorzystałem z tych wskazówek, ale ta pani, co obok mieszka, wzruszyła ramionami: „Może i był taki, panie tu różne przychodzą..."

Oferty pań z własnymi domkami. Te sobie Zdzisław P. bardzo cenił. Domki oglądał w dzień, a wieczorem składał wizyty damom. Domki były różne, właścicielki też, ale listy wszystkie kuszące. Oto jeden z nich:

List od pana otrzymałam oraz zdjęcie. Co do mego zdjęcia, może pan widzieć tylko w rzeczywistości — w domu zdjęć wizytowych czy dowodowych nie mam — mam tylko duże, które obawiam się wysłać.

Co do spotkania proponuję środę, tj. 9 bm. Chociaż nie wypada mi zapraszać mężczyznę, którego nie znam — nazywa się trudno. W moim domku będziemy rozmawiać najdyskretniej i najswobodniej...

Do zobaczenia Irena D.

Ale nie wszystkie autorki ofert podchodziły handlowo do sprawy. Są i listy cudownie wykaligrafowane na bezdrzewnym papierze, które pochodzą od kobiet szukających naprawdę towarzyszy życia. Nie ma w nich mowy o pieniądzach. Oto jeden z nich, także z Łodzi (fragment):

„Nie znam pana bliżej i dlatego proszę wybaczyć że odnosić się będę z pewną rezerwą. Jestem krakowianką, byłą sportsmenką. Posiadam 1,67 wzrostu, jestem ciemną szatynką. Bardzo cenię osoby z charakterem, gardzę natomiast tymi którzy gonią za przygodami."

Zofia W. Łódź.

Na to zgłoszenie nie było odpowiedzi inżyniera. Szybko natomiast nadeszła odpowiedź dla pani Barbary z Warszawy (ul. Zaułek). Oto, czego ona szukała w usposobieniu autora ogłoszenia:

„Łódź jest moim ulubionym miastem (ach jak chciałabym tam zamieszkać!). Tam się wychowałam i niestety, nieszczęśliwie wyszłam za mąż, ale to już jest poza mną. Za wygodna jestem, by się spotkać z panem w kinie „Śląsk". Zapraszam pana w sobotę na kolację. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, napijemy się przynajmniej starej gdańskiej wódki — prawda mój inżynierze?

Iwona K.

ON JEDEN

Nieco łatwiej przyszło mi zdobyć korespondencję pana Zdzisława do jego bogdanek. Kobiety, nawet zawiedzione, nie mają zwyczaju palić listów. Zawinięte w kolorowe wstążeczki będą kiedyś osładzać starość.

Oto odpowiedź dla pani Iwony K. — „Express".

Przyjmuję zaproszenie na sobotę. Podoba mi się pani propozycja — przepadam za gdańską wódką....

Są i odpowiedzi grubiańskie, ale niech one mówią same za siebie:

LIST DO PANI ZOFII Z WARSZAWY:

„Droga pani. List otrzymałem, zdjęcie także. Dziękuję. Pragnę dać dobrą radę, proszę wyjechać do Krynicy, tam doktor iks dokonuje ciekawego zabiegu — płukania jelit. Działa to bardzo odmładzająco..."

Obrażona warszawianka nie pozostała dłużna:

„Sądząc z listu — odpisała — był pan ostatnio w Krynicy. Racja, tam przecież jest gabinet medyczny, gdzie odmładzają przedwcześnie zwiędłych młodzieńców, oglądających się już tylko za smarkulkami... Jak widać kuracja nie powiodła się — współczuję, ale mnie ta oferta nie może interesować.

OKO W OKO

Młody człowiek, o znajomej już fizjonomii podniósł się od biurka: „Pan chce rozmawiać ze mną na tematy osobiste? Nie, nie życzę sobie".

Szalonym korowodem jęły przemykać się przed moimi oczyma obrazy, listy. Miałem już rzucać je kolejno na stół, jak karty — odebrać mu wszystkie „lewe". Oto on, rzekomy „ideał", bez ambicji i dumy, marna duszyczka, nie żaden „Casanova", drobny oszust, którego nie ściga wprawdzie Kodeks Karny, ale Kodeks Życia każe nań spluwać. Zapomniałem na chwilę o Beacie w jego domu, dzieciach i obowiązkach.

Zdzisław P. stał moment pod pręgierzem niewypowiedzianych oskarżeń jak zbity pies, ale wnet otrząsnął się i dodał: „Każdy dorosły człowiek ma prawo do własnego modelu życia..."

A więc będzie brnął dalej, zamieszczał ogłoszenia, fabrykował paczki listów. Ale czy będzie pertraktował z legionem kobiet po to, by wybrać następczynię Beaty? Nie, on nie chce nic zmieniać w swoim życiu. Nie zamierza nawet wynieść się z domu, on chce grać w fałszywe karty dla smaku samej gry, przedłużenia „harmonogramu" proszonych kolacji, obiadów (podczas których „sprawdza się" wartości kulinarne przyszłych „wybranek", a także sprawdza się inne wartości...)

„Człowiek za ogłoszeniem matrymonialnym" — chciałem zatytułować swój reportaż.

A może jednak warto pomyśleć o nich i wnioskach płynących z reportażu, gdy przychodzi do głowy zamiar rzucić na biały papier odpowiedź:

„Zainteresowała mnie pańska oferta, wyrażam chęć nawiązania znajomości..."

Ta chwila zastanowienia może nieraz oszczędzić jeszcze jednego zawodu, których i tak odpowiadający na ogłoszenia matrymonialne mają dość.

Przez porty świata

Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty świata

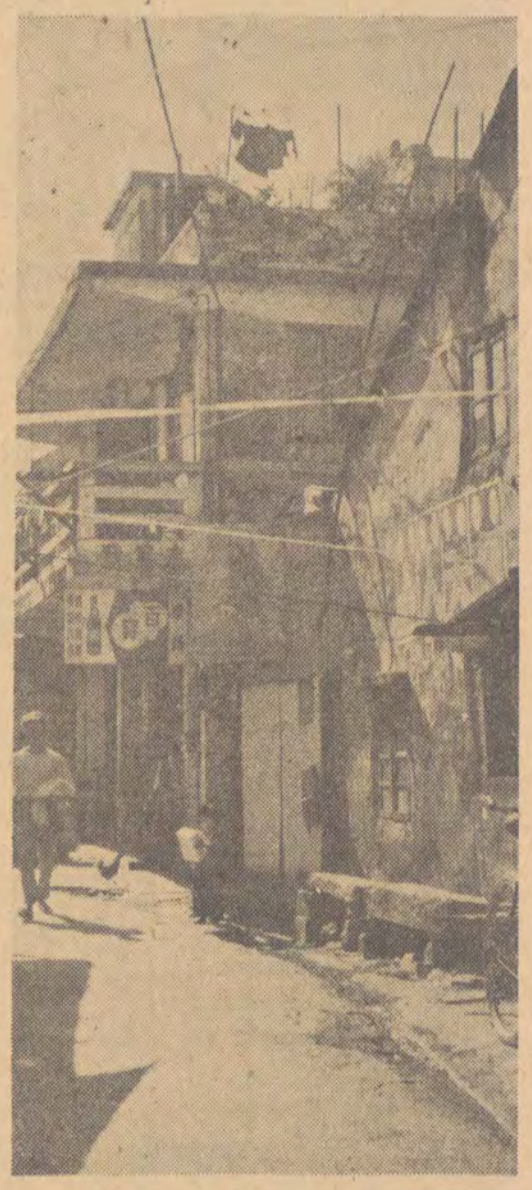

Mała zaciszna uliczka w Kantonie

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAW GÓRECKI

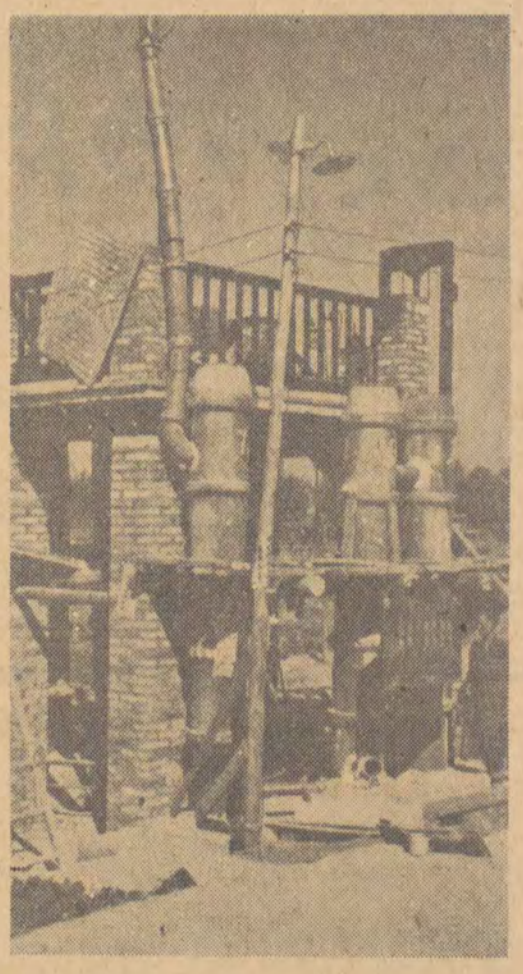

Fabryka kwasu siarkowego w Instytucie dla dzieci emigrantów w Kantonie. Tą właśnie fabryką zarządza piętnastoletnia pani dyrektor

KUANG-CZOU LEŻY NAD RZEKĄ PERŁOWĄ

Z Zatoki Tonkińskiej wpływamy w wąski przesmyk Cieśniny Hainańskiej położonej między wyspą Hainan a kontynentem. Od tej chwili aż do samego portu pozostajemy pod stałą i czujną opieką chińskiej artylerii nadbrzeżnej. Choć do Taiwanu jeszcze daleko, a jednak już tu wyczuwa się atmosferę wojny. Co pewien odstęp czasu sygnalizacją świetlną porozumiewamy się z odziałami wojskowymi z wybrzeża, skąd otrzymujemy zezwolenie na kontynuowanie rejsu.

Statek nasz jest zbyt duży, aby wpłynąć do samego Kantonu. Kierujemy się więc do położonego o 30 kilometrów bliżej Wampoa. Jest to port znajdujący się dopiero w budowie, a przeznaczony właśnie dla dużych transatlantyków. Na razie mogą do portu zawijać jednocześnie tylko trzy statki. Dlatego dwa dni musieliśmy oczekiwać na redzie na swoją kolej. Wreszcie cumujemy. Wampoa właściwie jeszcze nie istnieje. Domy są dopiero w budowie. Ale pobudowano już świetne asfaltowe szosy. Towarzysze chińscy zapowiadają, że rozładują nas w dwie i pół doby. Sceptycy uśmiechają się drwiąco: 5 tysięcy ton to 5 milionów kilogramów — mowa... postoimy z 8—10 dni. W Rotterdamie robią jak szatani, a też nie zrobią tego szybciej jak w 7 dni... Ano, zobaczymy, tymczasem trzeba póki czas jechać do Kantonu.

Kanton leży na zwrotniku Raka. Chyba właśnie dlatego to wszystko co słyszeliście o miastach północnych Chin — takich bardzo uporządkowanych, dostojnych z ich wiecznie spieszącymi się mieszkańcami, tu, na południu nie ma żadnego zastosowania. W Kantonie cały rok kwitną kwiaty, ludzie tu hałaśliwi, ulice gwarne i gorące.

Kanton to stolica żyznej i kiedyś najbardziej przeludnionej prowincji Chin, arena wojny opiumowej, kolebka głodowej emigracji i kolebka rewolucji. Zaplecze gospodarcze brytyjskiego Hongkongu i portugalskiego Macao — wszystko to po dziś dzień ma pewien wpływ na to, co zwykliśmy nazywać obliczem miasta.

Kanton nazywa się właściwie Kuangczou. Nazwę, pod którą wszedł na mapy świata zawdzięcza przybyszom z Europy i może dlatego Chińczycy niechętnie jej używają. Dwa tysiące lat temu była tu mała, ale za to bardzo okrągła góra. Na górze leżały kamienie — również małe i również bardzo okrągłe. Dziś każde dziecko w Kantonie wie, że tamta góra z kamieniami wyglądała zupełnie jak usypisko z pereł i że ludzie, którzy przyszli zbudować tu miasto, powrzucali kamienie do rzeki i nazwali ją wtedy Rzeką Perłową.

LUDZIE RZEKI — CZYLI PIRACI W SPÓŁDZIELNI

Po rzece pływają łodzie, które my zwykliśmy określać mianem dżonek. Chińczycy mają dla nich dziesiątki nazw — w zależności od wielkości, kształtu, ożaglowania. Są więc żagle trójkątne i prostokątne, płetwy rekina i skrzydła nietoperza. Wszystkie postrzępione i połatane, rude, czarne, szare z żółtymi łatami. Przy wiosłach całe rodziny — najmłodsze dzieci śpią rozpłaszczone w płóciennej torbie na plecach matki, nieco starsze biegają po pokładzie uwiązane linką za nogę. Tu nawet kot ma swoją linkę. To dżonki robocze lub roboczo—mieszkalne. Służą do transportu, połowu ryb, przewozu ludzi. Są także dżonki wyłącznie mieszkalne. Ustawiły się ciasnymi szeregami przy drewnianych pomostach wrzynających się głęboko w nurt rzeki, w samym śródmieściu Kantonu. Są szare, stłoczone, mają budy z bambusowych mat. Mieszka w nich 60 tysięcy ludzi. To całe miasto.

Dzielnica dżonek ma dziś swoją — jak my byśmy to nazwali — radę narodową. Jej przewodniczący pokazał mi przede wszystkim zainstalowane na brzegu krany. „Spójrz — powiedział — mamy krany. Przedtem piło się wodę wprost z rzeki. Często wybuchała epidemia, śmiertelność wśród niemowląt dochodziła do 57 proc. Nie pomogły nawet amulety — srebrne bransoletki z dzwoneczkami na nóżkę do odpędzania złych duchów. „Ludzie rzeki" — to były pogardliwe słowa. Żadna dziewczyna z lądu nie wyszła za „chłopca z rzeki" Za wszystko trzeba było płacić: był podatek od urodzenia i od młodości, od starości i od śmierci, a zbieraczowi podatków płaciło się za niebezpieczeństwo wpadnięcia do wody". Dziś ludzie rzeki mają własne pływające szkoły i przedszkola (wyglądają jak najprawdziwsze domy na wodzie), a na lądzie pobudowano im szpital i izbę porodową.

Chodzę po pomostach i niedyskretnie zaglądam pod dachy szałasów. Staruszkowie siedzą w kucki, wyplatają maty i kapelusze, u burty wisi klatka z kurami, obok koszyk z niemowlęciem. To może bardzo romantyczne, takie miasto na rzece, ale na pewno bardzo niezdrowe. To dobrze, że władze miasta Kantonu postanowiły przesiedlić mieszkańców dżonek na ląd. Do końca 1960 roku 60 tysięcy rybaków i przewoźników zamieszka w nowym osiedlu. Czy wszyscy chcą się przenieść? Nie, najstarsi mówią, że to dziwactwo taka przeprowadzka. Kiedyś mówiło się tu: „Jak ryba nie może zamknąć oczu umierając, tak samo rybak nie może żyć w dostatku"

Przy końcu pomostu — mała niespodzianka. Kilkanaście większych łodzi w równiuteńkim szeregu. Pod bambusowym zakurzonym dachem — lśniące lustra, stoliki z czerwonego kamienia, ozdoby z kości słoniowej, skrzynie inkrustowane srebrem. Towarzysz przewodniczący skromnie spuszcza oczy... „To łodzie dawnych piratów — powiada. Ale oni wszyscy pracują teraz w rybackiej spółdzielni".

2.400.000 ROBI PORZĄDKI

Na bulwarze nad rzeką rosną palmy, mandarynki i cieniste „skrzydła fenixa" — z sylwetki podobne do kasztana, kwitnące różowo i fioletowo. W ogródkach na płaskich dachach 2—3 piętrowych domów kwitną przeważnie chryzantemy: kwiat długiego życia, spokoju, miłości.

Kantończycy, jak wszyscy chyba południowcy kochają kwiaty, śpiew i taniec. Tańczy się tu wprost na ulicy, a powód zawsze się znajdzie. Mogłem się o tym przekonać zaraz pierwszego dnia. Wystarczył dwudniowy zjazd racjonalizatorów rolnych, a już na ulice wyległy chytrookie tygrysy i złociste szmaciane smoki. Smoki tańczą więc taniec władzy i potęgi i zjadają papierowego tygrysa. Na cześć zwycięstwa strzelają petardy, drą się piszczałki, dzwoneczki i bębenki. Wesoło to lecz nieco hałaśliwe.

Uciekamy od tego kolorowego zgiełku w spokój bocznych uliczek. O tych uliczkach pisał dwa lata temu Paweł Jasienica. Miał im wtedy za złe, że takie szare. Dziś domy są żółte, błękitne, białe i różowe.

„Całe to odnowienie, to były takie noworoczne porządki". Cza-Fu-Tsje jest przedstawicielem miejscowej gazety, która właśnie te porządki wymyśliła, jest więc bardzo zadowolony, że zwróciłem na to uwagę.

Naipierw wszyscy zbierali złom — opowiada Cza-Fu-Tsje — potem sprzedaliśmy złom, potem kupiliśmy farby i pędzle i pewnego dnia wszyscy mieszkańcy wyszli po pracy na ulice. No i pomalowaliśmy". Rzeczywiście pomalowali. Nic wielkiego, ot, takie sobie noworoczne porządki. 2 miliony 400 tysięcy kantończyków z pędzlami w ręku.

CHIŃSKA DROGA DO „EMIGRACJI"

Jest na przedmieściach Kantonu stara robotnicza dzielnica — takie domki, jakie teraz zaczęło się w Chinach masowo burzyć: ciasne i stłoczone, pokryte wiecznym kurzem — plątanina kamienia, mat i bambusu. Tuż obok — nie tyle o ulicę ile o miedzę dalej — cienista aleja prowadzi w głąb dzielnicy emigrantów. Nowoczesne wille ze słoneczną plażą na dachach, w ogródkach róże, sosny chińskie, banany i mandarynki.

Północ nie znała niemal emigracji. Emigracja chińska pochodzi z południa, a blisko połowa właśnie z prowincji Kanton. Stolica prowincji stała się więc zarazem „stolicą emigracji" — tu koncentruje się większość instytucji współpracujących z emigrantami. A trzeba przyznać, że Chiny Ludowe nie pomijają żadnej sposobności porozumienia z 13 milionami Chińczyków rozsianych po całym świecie.

W kantońskiej dzielnicy emigrantów siwi panowie w pierwszorzędnych europejskich garniturach podlewają w ogródkach kwiatki, godzinami popijają na tarasach herbatę.

Czang Wan z komitetu do spraw emigracji powiedział mi: Mamy w Chinach 10 milionów osób, które stanowią najbliższe rodziny emigrantów. Chcemy, aby nasi emigranci pamiętali o swej ojczyźnie i o swych rodzinach. Ci ludzie opuścili Chiny uciekając przed głodową śmiercią. Wyjeżdżali nie w pogoni za bogactwem lecz w poszukiwaniu codziennej miski ryżu. Wielu z nich zdobyło majątek, to prawda, ale nasz naród wie, że swój majątek zdobyli oni bardzo ciężką pracą, wieloletnim ciułaniem, rozumie ich trudną przeszłość, ich tęsknotę do kraju i szanuje ich.

Chińscy emigranci w Indonezji, Południowym Wietnamie, Malajach, Filipinach — kupcy, fabrykanci, restauratorzy, to niemal z reguły najbogatsi ludzie w tych krajach. Willa w Kantonie kosztuje 15—20 tysięcy dolarów. Wielu z nich może więc sobie na to pozwolić. W kantońskim osiedlu mieszka na razie 600 osób. Nie wszyscy wrócili jednak tu na stałe. Niektórzy pobudowali sobie wille aby móc spędzać w kraju parę tygodni w ciągu roku, inni wysłali tu swe matki staruszki, które — jak powiadają — chcą umrzeć w ojczyźnie. Jeszcze inni zamieszkali tu wprawdzie na dobre, ale bynajmniej nie zlikwidowali swych interesów na obczyźnie, zostawiając za granicą kogoś z rodziny.

W Kantonie działa także bank inwestycyjny dla emigrantów. Emigranci wnoszą tu swe kapitały, za które buduje się państwowe fabryki i osiedla. Roczny dochód udziałowców jest wprawdzie niewielki — wynosi 0,8 proc. od włożonej sumy. Jednakże daje im to możliwość uzyskania pewnej kwoty w chińskiej walucie, przeznaczonej na bezpośrednią pomoc dla pozostającej w Chinach rodziny.

W kantońskim instytucie dla dzieci emigrantów studiuje przeszło 1600 dziewcząt i chłopców. Studia trwają 5 lat. Jak wykazuje dotychczasowe doświadczenie — 90 proc. młodzieży po ukończeniu studiów pozostaje w Chinach na stałe. Najważniejszą rolę spełnia tu bodaj kurs przygotowawczy. Taki kurs trwa od kilku miesięcy do roku. Jego zadaniem jest zaznajomienie młodzieży z problematyką dzisiejszych Chin i przystosowanie jej do życia w nowych odmiennych warunkach. Wszystko to w nomenklaturze chińskiej nazywa się podniesieniem świadomości politycznej. Ale kiedy przyjechałem do instytutu nie spotkałem tu wykładowców w pocie czoła prostujących kręgosłupy ideologiczne kapitalistycznych dzieci. Na spotkanie wybiegła mi dziewczyna w drelichowych spodenkach. Poprowadziła mnie lasem daleko poza gmach instytutu. Okazało się, że 15-letnia dziewczyna to dyrektor fabryki kwasu siarkowego. — Fabrykę — kilka kotłów i komin — zaprojektowali i wybudowali sami uczniowie. Towarzyszka dyrektor skubiąc wstążkę od warkocza przez dobre pół godziny wyjaśniała mi w rymowanym referacie cały proces produkcji.

KOŃSKI OGON Z IMPORTU

Wędrowałem więc sobie przez Kanton dźwięczący sandałami (tu wszyscy noszą drewniane sandały — zielone, żółte, czerwone, zwykłe lub w kwiatki, a wszystkie domy mają podcienia, od deszczu i od słońca; podcienia dają pogłos i stąd ta sandałowa muzyka). Wędrowałem sobie przez Kanton i ani na chwilę nie dane mi było zapomnieć o bliskim sąsiedztwie brytyjskiego Hongkongu. Oto świeże plakaty na murze. Grupa ludzi z ciekawością przygląda się fotografii z plakatu. To znów złapano szpiega z Hongkongu.

Przy jednej z głównych ulic — wielka wystawa przemytnicza. — Przemyt — oczywiście z Hongkongu. Jak wiele tracą przemytnicy całego świata nie zwiedzając owej wystawy. Przecież to cały uniwersytet. Mniej tu zdaje się chodzi o przedmioty, więcej o sposoby. Są więc zdjęcia rentgenowskie jelit ludzkich wypełnionych drogocennymi kamieniami. Beczka orzeszków. Orzeszki nadziewane złotymi stalówkami, a bambusowe fujarki— zegarkami. Po godzinie miałem dość tych sensacji. Kiedy odpoczywaliśmy na ławce w parku przeszła obok nas śliczna dziewczyna. Ubrana była jak wszystkie kantońskie dziewczęta w ciemne długie spodnie i wzorzystą bardzo kolorową bluzeczkę. Ale zamiast warkoczy nosiła długi „koński ogon". — Ładnie się uczesała — zamruczałem prowokacyjnie. A Czen-Fu-Tsje powiedział: „Wiesz, ona pewnie dopiero niedawno przyjechała z Hongkongu. Musisz jej wybaczyć".

Ale Hongkong to już zupełnie inna sprawa. Zgodnie z zapowiedzią, wbrew opiniom sceptyków, trzeciego dnia o godzinie 12.00 zakończony został wyładunek. Rzucamy cumy. Kierunek — Hongkong. Widoczny świetnie przez lornetkę, położony o niespełna trzy godziny żeglugi, a jednak zupełnie inny świat.

(d. c. n.)

Szachy....

Parasol noś i przy pogodzie — powiada stare chińskie przysłowie

ZDZISŁAW KOZŁOWICZ

Moja mała agitacja

Przy dość dużej aktywności prasy odżyła znów sprawa powołania do życia Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Podniósł ją „Dziennik Łódzki", poparły pozostałe gazety i wszystko wskazuje na to, że już niedługo Towarzystwo to przyoblecze się w formę organizacyjną.

Sceptyk chciałby tu zapewne dojść do głosu i mógłby zapytać tak: Co to znaczy być przyjacielem Łodzi? Albo jeszcze inaczej: Jak można nie być przyjacielem domu, w którym się mieszka, ulicy, którą przemierza się kilka razy dziennie, a wreszcie miasta, w którym się żyje?

Pytania niby retoryczne a przecież można. Można w nowo otrzymanym mieszkaniu hodować kozy lub gołębie i pozwalać dzieciom na zapisywanie ścian klatki schodowej odkrywczymi napisami w rodzaju: „Janek jest głupi". Przyjęte jest, że w takie sprawy wkracza czynnik urzędowy (lub nie) z całym naręczem środków administracyjnych. Lecz przecież tego typu interwencje to ostateczność. Ilość kar administracyjnych jest zwykle odwrotnie proporcjonalna do stopnia cywilizacji i kultury społeczeństwa. Istnieją kraje, gdzie zwykły apel o jakieś, czasem przykre ograniczenie, lub poszanowanie porządku publicznego, załatwia całą sprawę.

To nie jest sarkazm. Nasze społeczeństwo ma dostatecznie wiele zalet i zasług i nie trzeba ciągle biadolić nad jego wadami. Lepiej natomiast świadomie, w każdy dostępny sposób kształtować jego nawyki, niezbędne dla harmonijnego współżycia każdej zbiorowości. Być może, iż jest to uderzenie w zbyt wielki dzwon dla uzasadnienia pilnej potrzeby utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Jest jednak w tym jakaś racja. Nie trzeba szukać lepszej szkoły w celu budzenia szacunku dla wzajemnego dorobku, dla kształcenia gospodarskiej uwagi i odpowiedzialności, jak właśnie na przykładzie rzeczy najbliższych a więc: własnych domów, ulic i miasta.

Na pierwszym zebraniu dyskusyjnym, które miało określić kierunek i zasięg prac wstępnych nad organizacją TPŁ, kierownicy polityczni i samorządowi naszego miasta nie taili swych wątpliwości i zastrzeżeń. „Obawiamy się — powiadali — by pod postacią Towarzystwa Przyjaciół Łodzi nie powstała jeszcze jedna organizacja z wyciągniętą rękę i zawołaniem: dajcie! Dajcie na pomniki, tablice pamiątkowe, na zieleńce, wydawnictwa, wystawy, festiwale, odczyty itp. (taki właśnie kierunek działania Towarzystwa przewiduje projekt sta-

DZIURA W NIEBIE

JERZY WALEŃCZYK

Uwaga, wściekły!

Gdybym powiedział, że „Miejsca nawiedzone" Włodzimierza Odojewskiego są powieścią na wskroś współczesną, nic bym nie powiedział, ponieważ termin „współczesność" obejmuje tyle rozbieżnych zjawisk, że przestał być dawno jednoznaczny, jeżeli nim był kiedykolwiek.

Współczesność to radziecka fotografia Księżyca z kraterami Ciołkowskiego, Łomonosowa i Joliot-Curie, z Jeziorem Marzeń i Jeziorem Kryzysu. Współczesność to Nauka i Przypadek, bóstwa potężne i rozstrzygające. Współczesność to John Dunn, który wygrał w toto-lotka sportowego 260.104 funtów angielskich, największą wygraną, jaka padła dotychczas w angielskim toto-lotku. A więc przypadek.

Współczesność to aktywizowanie i eksploatacja chemii, biologii i psychologii do regulacji stosunków międzynarodowych, to poszukiwanie broni absolutnej na terenie antymaterii. Współczesność to młodzież z instynktami neandertalczyka i amerykańskie marzenie o nadczłowieku dra Mullera, który sądzi, że można „wyhodować" nadczłowieka (wychodząc z założeń darwinowskiej teorii ewolucji), który by miał jednocześnie cechy i umiejętności Lincolna, Einsteina, Pasteura i Kartezjusza. Dr Muller zapowiada na ten temat dłuższą wypowiedź na Uniwersytecie w Chicago w stulecie ogłoszenia teorii Darwina, jak to możliwe? Muller widzi dwa sposoby osiągnięcia nadczłowieka. Pierwszy przez sztuczne zapłodnienie, drugi przez planowy dobór dzieci „wysokowartościowych małżeństw". Dr Muller wierzy w nadczłowieka, wysokowartościowego, chce go „wyhodować". Ale równocześnie w Ameryce istnieje „syndykat dla handlu dziećmi" wobec, jak podają statystyki 800.000 bezdzietnych par małżeńskich, które daremnie ubiegają się o adaptację cudzych dzieci i gotowe są zapłacić za dziecko 2.000 dolarów, bo taka jest przeciętna cena. Zwalczanie tego syndykatu jest rzeczą trudną, ponieważ w konstytucji amerykańskiej brak jest odpowiedniej ustawy.

Współczesność, nasz wiek XX, przeraża i zachwyca. Jest wielki i nędzny. Imponujący i płaski. Awansuje człowieka do rangi bóstwa i degraduje go do poziomu bestii. Pokazując jasne drogi wiedzie niekiedy do impasu. Wiodąc do impasu odkrywa często wspaniałe perspektywy.

Czym ma być w takich czasach literatura? Jaka ma być? Gdzie jest kodyfikator, Boileau XX wieku?

Drouot, wydawca paryski, opublikował „Metamorfozy" Owidiusza z ilustracjami Picassa. Oto jak się łączy konserwatyzm i nowatorstwo, to co stare i to co nowe. Wszystko już było? Nie, jeszcze wielu rzeczy nie było. Co ma robić pisarz, aby być pisarzem na wskroś współczesnym? Studiować łacinę, grekę, fizykę elektronową i astronomię?

Salvatore Quasimodo, tegoroczny laureat Nobla, opublikował dwa lata temu we włoskim komunistycznym piśmie „Unita" poemat o pierwszym, radzieckim sputniku. Mówi tam o siedmiu dniach stworzenia i o tym jak człowiek ze swoją ziemską inteligencją kontynuuje dzieło Stworzenia. W tekście jest mowa o Bogu.

Wspaniały jest wiek XX. Pysznimy się nim i boimy się go. Chcemy, aby prowadził do lepszego, wspanialszego świata. Stąd objawy buntu intelektualnego młodej generacji na całym świecie. Stąd pokolenia „wściekłych", stąd olśnienie i gniew.

Odojewski to młody, utalentowany pisarz współczesny. Odojewski jest polskim „wściekłym". Jest porażony buntem i lękiem. Odojewski to przedstawiciel pokolenia, którego wprawdzie nie łączy wspólny rok urodzenia, ale które jest związane duchem protestu, niezgadzania się. Nie jest to płaski protest reagujący patetycznie na takie czy inne zmiany w zastanych konstelacjach cen. Nie o to tu chodzi. Nie o zbrojenie się w rynsztunek malkontenta. Jest to eksperyment literacki, dobry, rozgałęziony, kwitnący. Odojewski chce znaleźć formułę na to wszystko co nas otacza, formułę na współczesność. Rzuca się ze wściekłością na wszystko. Na uniwersytety, na instytucję małżeństwa, na Prawdę, którą niełatwo nadgryźć, na przyjaciół-łobuzów, pluje nawet na pory roku, na talent, na ludzi, demonstruje i ogłasza swoje arcyobrzydzenia na dyrektorów („wiadomo, dyrektorzy! Radzi by każdą aktoreczkę przez swe łóżko przepuścić, brzuch jak walizka i jeszcze w pretensjach"), radzi premierów wrogich państw wpakować razem do łóżka, brzydzi się siebie, brzydzi się Helwecjusza, brzydzi się swojej śliny i zarazków, które nosi, brzydzi się książek i pedałów i boli go to, że nic już nie da się zawrócić, i wszystko, wszystko gaśnie.

Odojewski jako „wściekły" i zbuntowany warczy na wszystko. Na ideę i na bezideowców, na zdania krótkie i zadyszkę przy gwałtownym ruchu, na fekalia własne i cudze, na tysiące ludzkich i antyludzkich czynności, do jednego bagażu swoich antypatii wrzuca samochody i gumę do żucia, srebrne lisy i lisy niebieskie, taczki i znaczki, wiadra i domy, piegi i św. Antoniego, fotele i loterie.

Można by się zastanawiać nad tym, ile jest tu Becketa, ile Faulknera, ile Hemingway'a ile innych dopożyczonych kostiumów. Zostawmy to innym.

Można by się zastanawiać, o ile włączona do tej książki legenda o Ahaswerze, Żydzie, wiecznym tułaczu, ma symbolizować los człowieka w ogóle, co oznacza pokazana w baśniowej konwencji martwa równina. Ostrzeżenie? Wizję przyszłości?

Odojewski jest nowatorem, mimo swoich suflerów. Zachłystuje się swoją współczesnością i wybrzydza jednocześnie. Jest antynomiczny, zdrowy i chory. Skupia i rozprasza, jest statyczny i ekscentryczny. Jest współczesny. Jego bohater jest ogarnięty modernistyczną verlainowską niemocą i jakimś woluntaryzmem, jakąś chęcią opanowania formy współczesności za pomocą siły woli.

A może bohater Odojewskiego jest po prostu tylko chorym człowiekiem?

Czym jest współczesność i czym jest pokolenie wściekłych, które próbuje ją kąsać, kąsając siebie?

Czym są truizmy i czym jest nowatorstwo?

Niełatwo sklasyfikować inwazję spraw i pojęć atakujących współczesnego człowieka, choć wiemy, że formuła współczesności jest racjonalna. Racjonalna, chociaż tęczuje pozorami agnostycyzmu i niezmienności losu ludzkiego.

*) Włodzimierz Odojewski — „Miejsca nawiedzone" Wyd. Łódzkie 1959, powieść wyróżniona na Ogólnopolskim Konkursie Literackim.

Turkusowa bogini

— Alpy? Mogą być dla nas tylko odskocznią. Odtąd naszym celem jest Himalaje.

Zerwały się z miejsc członkinie londyńskiego „Ladies Alpine Club". Anglicy — co prawda wystyngowane — patrzyły z góry na czupurną paryżaneczkę, zuchwale stworzonko o wzroście równiutkie półtora metra. Patrzyły z góry, ale z niekłamanym podziwem. Bo przecież... nikt nie miał prawa odmówić Klaudii Kogan tytułu „najwyższej kobiety świata".

Jeden po drugim przemierzyła wszystkie klasyczne szczyty Alp. Newada Pisco, Alpamayo, Kurtaraju, Salcantay — cztery olbrzymy podniebnych Andów peruwiańskich pokonała w ciągu jednego sezonu. W Himalajach zdobyła Nun-Kun i Ganesh-Himal, szczyty, które oparły się tylu męskim ekspedycjom. Raz tylko musiała zawrócić. W 1954, na Cho-Oyu, o 500 metrów przed wierzchołkiem zmógł ją monsun. Ale nigdy jeszcze stopa kobieca nie stanęła tak wysoko: 7700 metrów nad poziom morza.

Żelazne ręce — mówili o niej przewodnicy. Jedwabne — zachwycali się klienci.

Klaudia była z zawodu szwaczką. W czasie okupacji Francji musiała uciekać z Paryża i przekradła się do matki, do Nicei. Nie posiadając papierów szukała oparcia w jakimś stowarzyszeniu. Zapisawszy się do klubu alpinistycznego, dwudziestoletnia, energiczna dziewczyna już na drugi dzień postanowiła wyruszyć na pierwszą wycieczkę, bardzo trudną, w sprawie wysokogórskiej. Na szczycie zaczęły poznawać piękno świata. Wkrótce pobrali się.

Z pochodzenia Rosjanin, poszukiwany przez żandarmerię, mąż jej wstąpił do partyzantki. Co tydzień Klaudia samotnie wyprawiała się w góry. Na spotkania.

Po wojnie pozostali w Nicei, założyli wytwórnię trykotaży. Wyrobiony smak i zręczne dłonie Klaudii przyniosły dobrobyt. Po roku zatrudniali trzydzieści pracownic, obsługiwali najbardziej ekskluzywne paryskie domy mody. A pieniędzy potrzebowali wiele. Na wspinaczkę.

W Europie nie mieli już nic do roboty. W 1951 roku wyruszyli w Andy. Razem zdobyli trzy peruwiańskie szczyty, po sześć tysięcy metrów. Czekała ich tylko jedna jeszcze wyprawa — na najwyższy i najtrudniejszy: Salcantay.

— To głupstwo — mówił Jerzy Kogan — z tobą nic się nam nie oprze.

W parę dni później zmarł z wycieńczenia.

Klaudia poszła sama. I jak sobie obiecała, na szczycie Salcantayu zagrzebała w śniegu medalion z podobizną męża.

Czyniła tak później kilkakrotnie. Ale Cho-Oyu, Turkusowa Bogini, szósta góra świata, 8180 metrów wysokości, pozostała niezdobyta.

W końcu sierpnia 1959 roku, ze stolicy Nepalu — Katmandu wyruszyła najdziwniejsza ekspedycja. Na czele maszerowało dwanaście kobiet w błękitnych spodniach i żółtych swetrach. Za nimi postępowało ośmiu szerpów i stu dwudziestu tragarzy.

Szerpów, niezrównanych górali nepalskich, wybrał i przyprowadził osobiście Tensing, zdobywca Everestu. Nie tylko przybył sam by poznać „najwyższą kobietę świata". Dał jej pod opiekę swoje dwie córki — Nimę i Pem-Pem — oraz siostrzenicę Dhomę. Pragnął, by dziewczęta w godnym towarzystwie odbyły wysokogórski debiut. Tensing wyznaczył również przewodnika wyprawy, młodego górala Dawana Norbu, swojego przyszłego zięcia.

Kronikarzem wyprawy została najstarsza jej członkini, pięćdziesięcioletnia arystokratka angielska, lady Dorotea Gravina. Lekarzem — pani Le Bret, mężatka i matka dzieciom, najlepsza przyjaciółka Klaudii. Ale właściwy trzon ekipy, która miała osiągnąć szczyt, stanowiły: pani Joanna Franco, żona szwajcarskiego profesora, hrabianka Klaudyna van der Stratten, dama dworu i najsłynniejsza belgijska alpinistka, no i oczywiście, „mem sahib", Klaudia Kogan, dowódca.

W ciągu trzech lat jakie minęły od pamiętnego londyńskiego zebrania, Klaudia szykowała ekwipunek. Wszystkiego dopilnowała sama i wszystko zapięte było na ostatni guzik. Buty były odpowiednio podkute, działały przenośne kuchenki, namioty dawały się rozpinać, a zamki błyskawiczne nie zacinały się.

W dolinie dokuczały upał i kleszcze. W górach było chłodno i cicho.

Dziewiątego września opuszczono Namche-Bazar, graniczne w tych stronach ludzkie osiedle. Odtąd zaczynała się wspinaczka.

Klaudia wysłała list do matki. Przypominała o pewnych zobowiązaniach finansowych pracowni. Koleżankom posłała kartkę z pozdrowieniami. Kolorową pocztówkę z widokiem na Cho-Oyu.

— Musimy dać dowód, że kobiety mają nie mniej sił i odwagi niż mężczyźni.

Osiemnastego zakładają bazę wyjściową na wysokości 5500 metrów. Klaudia pisze ponownie listy.

— Drugi etap przebyłyśmy szczęśliwie. Pogoda dopisuje i w dzień jest ciepło, tylko nocami pojawia się mróz. Instalujemy pierwszy obóz przejściowy na sześciu tysiącach. Wybieram się tam jutro z Joanną, Klaudyną i Eileen. One jedne są w pełnej formie. Reszta choruje. Szkoda, że osłabła Loulou Boulaz, bardzo liczyłam na jej wprawę i doświadczenie. Dziewczęta nepalskie jedzą śpią i gadają jak najęte.

Piątek, dwudziestego września. Lady Gravina notuje w dzienniku:

„Kobiety wyłażą z namiotów opatulone po szyję, wyglądają jak stare, zziębnięte indory. Nie mogę przełknąć jajka. Tylko płatki owsiane i kawa jakoś przechodzą przez gardło. Mróz dochodzi do czterdziestu stopni. O czwartej zapada zmrok.

Żeby iść naprzód, trzeba rąbać toporkami stopnie w lodzie. Podziwiam wytrzymałość Klaudii.

Romans — Pem-Pem i młody Norbu stale trzymają się na osobności".

Dni mijają. Kobiety podchodzą coraz wyżej. Zakładają obóz drugi, trzeci i czwarty.

Nagle pogoda psuje się. Zaczyna padać gęsty śnieg. Nadchodzi monsun.

Trzeba działać szybko. Już raz jesienne zawieje stanęły na przeszkodzie. Żeby zmniejszyć wysiłek końcowej wspinaczki, Klaudia nakazuje przeniesienie czwartego obozu na wysokość 7700 metrów, tam, gdzie kiedyś dotarła.

Ruszają w trójkę: Klaudia, pani van der Stratten i młody Dawan Norbu. Odchodzą [illegible] widoczni w śnieżnej burzy.

Wichura wzmaga się z godziny na godzinę, przemienia w prawdziwy orkan. Dmie dwie doby. Między obozem a punktem wypadowym łączność całkowicie zanika. Zagrożona lawinami ekspedycja musi wycofać się do bazy. Od trójki straceńców nie ma znaku życia.

Trzeciego października dwóch szerpów idzie na rekonesans. W nocy okropny krzyk podrywa na nogi cały obóz. Wraca jeden ze złamaną ręką. Drugiego porwała lawina.

Po trzech dalszych dniach ruszają na zwiad Joanna Franco i Dorotea Gravina. Wichura, choć słabsza, trwa ciągle. Z trudem docierają do miejsca, gdzie kiedyś był punkt wypadowy.

Strzępy mały podłogowej namiotu, rozsypane w śniegu puszki po konserwach dają świadectwo o przejściu lawiny. To wszystko, co znajdują.

Klaudia Kogan nie złoży medalionu na szczycie. Hrabianki van der Stratten nie pochowają w rodowym grobowcu. Dawan Norbu...

W bazie u stóp nieczułej Turkusowej Bogini płaczą Pem-Pem.

Opracował H. O.

tutu). A skąd na to brać nikt nie odpowie".

Można całkowicie rozumieć a nawet podzielić te zastrzeżenia. Całe Towarzystwo nie byłoby warte papieru, na którym rozpisano się o potrzebie jego powstania, gdyby takie były środki jego działania. To co ma być stworzone, wydane i zorganizowane przez TPŁ musi wyniknąć jako produkt pracy społecznej nakładem tej społeczności. Na tym opierają swe rachuby organizatorzy. Jest to wprawdzie rachunek z jedną niewadomą, ale rachunek oparty niewątpliwie na dużym stopniu prawdopodobieństwa.

Teoretycznie rzecz biorąc niewiadomą jest stopień zaangażowania i poparcia, jakiego to właśnie społeczeństwo Łodzi zechce Towarzystwu w jego pracach udzielić. Trudno snuć tu jednak poważniejsze wątpliwości. W prasowej dyskusji nad możliwościami powołania do życia tej właśnie organizacji zabrało głos kilkadziesiąt osób. Istnieje zaś — podobno naukowa — teoria, że na 20 osób, które coś boli względnie obchodzi tylko jedna chwyta za pióro by w danej sprawie się wypowiedzieć. W ten sposób zyskalibyśmy liczbę 2.000 potencjalnie aktywnych działaczy przyszłej organizacji.

To dostatecznie dużo, aby być spokojnym o przyszłe efekty. A jest przecież w Łodzi niemała grupa osób obłędnie zakochanych w swoim mieście, którzy nieustannie szperają w jego historii, wysuwają projekty lub wiele ze swego wolnego czasu poświęcają sprawom publicznym. Na nich zawsze można polegać. Tak więc drodzy przyjaciele z Chojen, Widzewa, Piotrkowskiej i Żubardzia nie będziecie sami. Jest cel działania, jest z kim, byle ochoty starczyło. Niech tylko każdy da z siebie to, co potrafi i na ile go stać.

Jednym z bardziej dyskutowanych punktów przyszłego statutu jest określenie formy organizacyjnej przyszłego Towarzystwa. Czy ma ono opierać się na kołach, zarządach dzielnicowych i Zarządzie Łódzkim jako instancji nadrzędnej, czy też winien istnieć zarząd łódzki jako główny koordynator i liczne koła w zakładach pracy, szkołach i wyższych uczelniach, o dużej samodzielności i wolnej inicjatywie. Rozstrzygnięcie tego problemu — to rzecz nie błaha. Starsi łodzianie pamiętający przedwojenne Towarzystwa Przyjaciół Bałut i Widzewa są za systemem dzielnicowym. Chcą w ten sposób uwzględnić lokalną specyfikę węższych kręgów społeczeństwa związanego ściślej wspólnym miejscem zamieszkania. Inna grupa znów obawia się tej trójstopniowości jako zbyt ciężkiej organizacyjnie machiny, której może nie starczyć dostatecznej aktywności i dynamiki działania. Słuszna więc wydaje się propozycja by statut spraw tych ściśle nie precyzował, pozostawiając rzecz rozwojowi wypadków.

Jedno jest pewne. O zasięgu działania, znaczeniu i efektach pracy Towarzystwa Przyjaciół Łodzi zadecydują, tak jak wszędzie, ludzie którzy w jego pracach zechcą uczestniczyć. W tej właśnie organizacji bardziej niż w każdej innej. Dlatego trzeba agitować za wstępowaniem do TPŁ, trzeba przyciągać ludzi, którzy zechcą i mogą sprawom naszego miasta poświęcić część swego czasu i energii.

Pozwólcie, że zacznę agitować.

Jeśli kochasz swoje miasto (a przecież musisz kochać bo to dobre miasto); jeśli chcesz by stawało się ono ładniejsze (na pewno chcesz); jeśli pragniesz by ludzie w nim żyli kulturalniej i wszechstronniej (nie możesz tego nie pragnąć); — bądź członkiem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Kochać, chcieć, pragnąć? Może zbyt dużo w tym doborze słów egzaltacji. Nie szkodzi. Tutaj jest ona chyba na miejscu.

LENA KOWALEWICZ -WEGNEROWA

LENA KOWALEWICZ — Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych ukończyła w Łodzi w latach 1946-51. Z początkowych lat twórczości artystki pochodzą prace będące pod wpływem impresjonistów (Bonnarda i Van Gogha). Dzisiaj, Lena Kowalewicz reprezentuje malarstwo typu abstrakcji niegeometrycznej. Od początku swojej kariery malarskiej była związana z grupą Strzemińskiego i Wegnera.

■

— Z jakim kierunkiem w plastyce współczesnej czuje się Pani związana?

— Moje aktualne malarstwo jest najbardziej spokrewnione z tak zwaną abstrakcją niegeometryczną. Muszę wyjaśnić, że typów abstrakcji niegeometrycznej jest wiele. Abstrakcja niegeometryczna Hansa Arpa na przykład jest krańcowo różna od abstrakcji Kandyńskiego. Zdyscyplinowana sztuka Hansa Arpa i żywiołowe pierwsze obrazy Kandyńskiego (które taszyści włączają do swoich tradycji) wynikają z krańcowo różnego stosunku do twórczości. Tak samo w abstrakcyjnie-geometrycznej, jak w każdych innych kierunkach malarstwa można mówić o typie konstrukcyjnym, racjonalnym w przeciwieństwie do nastawienia irracjonalnego, gdzie dominuje podświadomość i intuicja.

Po dłuższym okresie malarstwa konstrukcyjnego, o dość surowej dyscyplinie artystycznej, nastąpiło u mnie odprężenie w kierunku rozluźnienia dyscypliny i zdania się właśnie na tę podświadomość, intuicję i żywioł własnego temperamentu. Do malarstwa abstrakcyjnego, które dzisiaj uprawiam doszłam poprzez różne fazy rozwojowe, z których każda prowadziła do następnego szczebla mojej sztuki. W latach 47—49 byłam pod urokiem impresjonistów, szczególnie Bonnarda i Van Gogha. To nastawienie wrażliwości na barwę, nawet wtedy, kiedy oderwałam się od impresjonistów, zdecydowało o charakterze mojego późniejszego malarstwa. Powiem więcej, wówczas, kiedy odczuwałam potrzebę deformacji i przetwarzania przedmiotów na formy plastyczne, barwa zawsze była najbardziej odpowiadającym mi środkiem wyrazu artystycznego.

— Co Pani sądzi o przyszłości sztuki nieprzedstawiającej?

— Pan ma na myśli sztukę abstrakcyjną? A więc sztuka abstrakcyjna zdobyła już olbrzymią liczbę twórców i miłośników. Jej zasięg oddziaływania stale się rozszerza i powiększa. Proces ten, uważam, będzie trwał nadal i to coraz w większym stopniu. Jednakże, moim zdaniem, sztuka abstrakcyjna nie jest jedyną obowiązującą współcześnie formą artystyczną. Obok sztuki abstrakcyjnej rozumiem potrzebę istnienia innych kierunków artystycznych.

— Jakie Pani widzi możliwości zainteresowania odbiorców plastyką współczesną?

— Sztuka nowoczesna najbardziej dociera do przeciętnego odbiorcy poprzez jej zastosowanie w produkcji przedmiotów codziennego użytku. Tą drogą może przyjść zrozumienie i odczucie odbiorców dla sztuki czystej.

— W jakich warunkach Pani pracuje?

— Jeżeli chodzi o mieszkanie otrzymałam luksusowe — jest piękne i wygodne, ale miejsca do pracy twórczej jest niestety za mało. Pracujemy razem z mężem w jednym pokoju mieszkalnym, wydzielonym na ten cel. Natomiast jeżeli chodzi o stronę bytową no to cóż, malarstwo jest imprezą bardzo kosztowną, na którą, niestety, zarabiam podejmując się prac nie związanych bezpośrednio ze sztuką.

— Jak się Pani czuje w Łodzi?

— Atmosfera w Łodzi jest wybitnie niesprzyjająca pracy artysty...

Rozmawiał

MARIAN ZDROJEWSKI

NIE BĘDZIE „WOŁG" — BĘDĄ „WARTBURGI"

Jak się dowiadujemy w łódzkim „Motozbycie", w przyszłym roku spodziewana jest dostawa następujących samochodów z importu: z Czechosłowacji otrzymamy cieszące się wielkim powodzeniem na naszym rynku „Skody 440 Octavie" i „Skody 445 Octavie Super", z Niemieckiej Republiki Demokratycznej nadejdą oczekiwane z wielkim zainteresowaniem „Wartburgi", a ze Związku Radzieckiego — „Moskwicze 407".

Zakupione na rok bieżący luksusowe „Wołgi" nie pójdą do sprzedaży wolnorynkowej dla osób prywatnych.

JAK BĘDZIEMY KUPOWALI SAMOCHODY IMPORTOWANE W R. 1960

Dowiadujemy się, iż ulegnie zmianie system sprzedaży samochodów importowanych. Oznaczonego dnia (prawdopodobnie w końcu listopada lub na początku grudnia) wszystkie wojewódzkie placówki „Motozbytu" zaczną przyjmować od zainteresowanych osób deklaracje na zakup samochodu, na specjalnym druku. Deklaracja taka, po wypełnieniu przez zainteresowanego będzie gwarancją otrzymania samochodu w roku przyszłym, pod warunkiem wpłacenia w ciągu siedmiu dni ceny samochodu na konto „Motozbytu".

Dla zainteresowanych z terenu m. Łodzi i województwa łódzkiego deklaracje przyjmować będzie Łódzkie Biuro „Motozbytu" przy ul. Piotrkowskiej 125. Dzień, od którego będzie można składać deklaracje zostanie ogłoszony w prasie i przez radio.

Mieszaniny

pod redakcją JANA HUSZCZY

* * *

Zmarł Władysław Walter, wybitny aktor estradowy i komediowy, człowiek o wyjątkowym talencie, bo już przez samo swoje wyjście na scenę usposabiający do śmiechu. Gdzieindziej i inni będą pisać o jego życiu i bogatej twórczości aktorskiej. Na tym miejscu pozwalamy sobie przytoczyć kilka anegdot o nim — a krążyło ich zawsze wiele, zwłaszcza iż sam był znakomitym anegdociarzem — zebranych nie tak dawno, bo w 1956 roku, kiedy to nieodżałowany Walter obchodził swój piękny jubileusz pięćdziesięciolecia pracy scenicznej.

* * *

Pewien — wówczas początkujący — aktor występował z Walterem w przedwojennym „Morskim Oku" w wesołym dialogu. Rzecz oczywista, że dowcipne pointy, w trosce o ich nośność, powierzono Walterowi.

Początkujący aktor chciał jednak za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę publiczności. W momencie, gdy sala czekała na pointę Waltera, młodemu aktorowi wyskoczył półkoszulek na sprężynie: uwaga widzów została skutecznie rozproszona, pointa nie doszła do słuchaczy.

Innego wieczoru ten sam aktor w tym samym miejscu dialogu wypuścił gęś z przyniesionej na scenę walizki.

Ale już następnego wieczoru w kulminacyjnym momencie Walter najpierw przycisął nogą walizkę z gęsią, a potem spokojnie i w sposób właściwy wyakcentował pointę.

Tak więc młody aktor nie skupił na sobie uwagi, zaś gęś podobno przypłaciła to życiem.

* * *

Olbrzymi Walter bywał szarmancki w sposób godny poety. Witając się w kawiarni z pewną młodą i dosyć uroczą aktorką, powiedział:

— Ile razy pani wchodzi, nie mogę oprzeć się złudzeniu, że w szatni zostawiła pani skrzydła...

* * *

Dymsza został pewnego razu zaproszony przez Waltera na kolację. Niejeden chyba byłby gotów pozazdrościć, myśląc: „Takie spotkanie to na pewno humor, śmiech i zgrywa!"

A oto sprawozdanie z kolacji:

„Kolacja było doskonała. Walter jest bowiem nietylko smakoszem, ale i umiejętnym kucharzem. Po kolacji Walter zasiadł do fisharmonii i zaczął grać ulubionego Bacha. Tak wzruszyła nas muzyka, żeśmy obaj zaczęli płakać"...

* * *

Któregoś popołudnia straszliwy krzyk wybuchnął w jednej z łódzkich restauracji. Liczni goście z niepokojem rzucili się do stolika, przy którym zrobiło się tak głośno.

A to w tym czasie Dymsza w obecności Waltera zamówił na obiad kalafior, przypominając kelnerowi:

— Do kalafioru, jak zwykle, tarta bułeczka, no i dużo masełka!

Ścisnęło się serce smakosza Waltera. Nie żałując swego potężnego głosu, jęczał:

— Boże mój! Zmarnował kalafior! Kalafior może być tylko w beszamelu!

Przegląd prasy

W pobliżu Berlina

W pobliżu Berlina odbył się niedawno pomiędzy dwiema kobietami pojedynek na rapiry. Jedna z pojedynkujących odniosła ranę w lewy bok. Obie te panie należą do najlepszego towarzystwa. Jedna z nich jest córką austriackiego pułkownika druga zaś znaną w Berlinie pięknością, malarką-pejzażystką.

(„Wędrowiec", 1899)

OKRUCHY
(Z Emila Krotkiego)

Widząc potok samochodów, koń machnął ogonem na swoją przyszłość.

* * *

Jeśli chcesz wyprzedzić klasyków — pisz do nich przedmowy.

* * *

Życie to nie autobus: nie zatrzymuje się na żądanie.

* * *

Nie można było odmówić mu talentu, gdyż go nie miał.

* * *

Dobra cytata podobna jest do rodzynka w chlebie, ale nie wolno wypiekać schleba z samych rodzynków.

* * *

Wkradł się do literatury jak chochlik drukarski.

* * *

Tak wiele pił za cudze zdrowie, że stracił własne.

* * *

Jeżeli szofer wierzy w nieśmiertelność, życie pasażera znajduje się w niebezpieczeństwie.

* * *

Kochał całą ludzkość, z wyjątkiem współlokatorów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

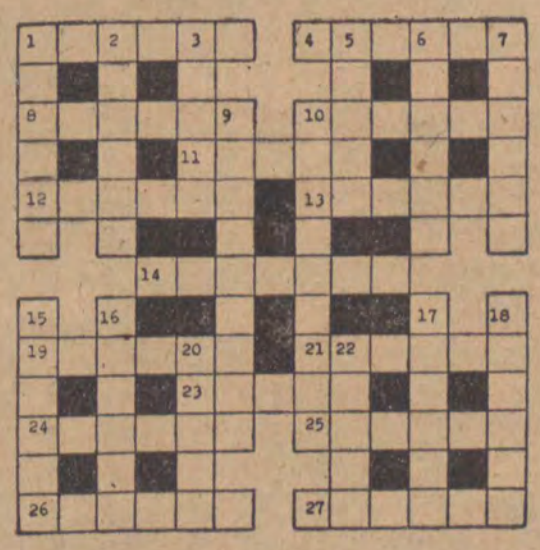

ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo — 1) Wzorzysta tkanina jedwabna do zawieszania na ścianie, 4) Naczynie używane przez starożytnych Greków i Rzymian do przechowywania wina, 8) Kraj w Afryce, 10) Kajuta okrętowa, 11) Ptak domowy, 12) Ozdoba szyi, 13) Nazwa słodkiego wina lub wyspa na Atlantyku, 14) Jedna z liczb, które mnożymy przez siebie 19) Wonna maść kosmetyczna, 21) Ubiór japoński, 23) Beczułka, 24) Pierwiastek chemiczny, 25) Wybitne zdolności w jakiejś dziedzinie, 26) Owoc południowy, 27) Warzywo.

Pionowo — 1) Owad lub kokardka, 2) Busola, 3) Komplet kart, 5) Np. metr, 6) Porucznik, kapitan, major, 7) Przyrząd maszyna, urządzenie, 9) Wywołuje nieporozumienia 10) Oficjalna wiadomość, informacja 15) Banderola, 16) Port turecki ośrodek handlowy w starożytności, 17) Pieniądz kruszcowy, 18) Kawałek cukru 20) Państwo europejskie, 22) Miasto między Grudziądzem i Olsztynem.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Poziomo — gazela, ogórek, kanapka, barkas, amfora, trans, swada, zieba, ruszt, format, akacja, persona, kropla, emocja.

Pionowo — grab, luka, gram, koza, jama, brawura, Astarte, kasztan, korbacz, susz, frak, apel, kadm, alfa.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Bronisława Wawrzynkowska**, Łódź, ul. Bednarska 24.
2. **Bolesław Werner**, Wałnik kapitan, major 7) Oficjalbrzych, ul. Poznańska 9.

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ○ Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. ○ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 3508. XI 59. S-3

TE RADY techniczne

Jak poprzednio wspominaliśmy anteny złożone stosuje się w warunkach skomplikowanego lub dalekiego odbioru. Antena złożona powstaje poprzez rozbudowanie anteny prostej o elementy dodatkowe jak tzw. „direktory" i „reflektory". Zastosowanie w. w. elementów zmienia charakterystykę odbioru anteny powodując jej kierunkowe uczulenie, powiększa jej zysk, mówiąc popularnie zwiększa uczulenie oraz zmienia oporność falową i pasmo przenoszenia.

Uważne przeanalizowanie powyższych rysunków od razu wskazuje na praktyczne ich zastosowanie. I tak anteny oznaczone numerem 2 stosować należy w mieście, kiedy antenę odbiorczą otaczają z tyłu wysokie zabudowania, kominy fabryczne, mogące kierować na nią wiązki fal odbitych (w efekcie występują na ekranie powtórzenia obrazu). Antenę nr 3 stosujemy w wypadku wąskiego przejścia (przysłoniętego zabudowaniami) w stosunku do anteny nadawczej. Anteny nr 4 i 5 lub jeszcze bardziej skomplikowane stosujemy przy odbiorze dalekim, tj. od 20 do 70 km (granica pewnego zasięgu łódzkiej Stacji Telewizyjnej w założeniu terenu otwartego).

Na koniec jeszcze w związku z często stawianym pytaniem, czy zastosowanie anteny o dużym zysku na przykład nr 5, w pobliżu stacji jest celowe? Odpowiedź: raczej nie, gdyż podraża niepotrzebnie koszty instalacji, może powodować przesterowanie wejścia odbiornika i tym samym zniekształcać odbiór. Jedynie w łącznym zastosowaniu z tłumikiem na wejściu odbiornika (niektóre odbiorniki mają go fabrycznie wbudowany, tzw. „odbiór bliski") poprawia ona stosunek sygnału użytecznego do szumów.

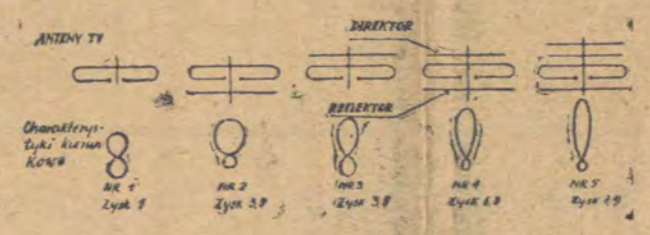

JERZY URBANKIEWICZ

W GADANEGO, czy-tak oto?

Nie ma chyba telewizji, która dawałaby wyłącznie rozrywkę. Nawet zachodnioeuropejskie telewizje prywatne, których los zależy całkowicie od wielkości kręgu odbiorców, nadają program publicystyczny, szkolny, popularnonaukowy. Spragniony „kina" telewidz musi je obejrzeć od deski do deski, jeśli nie chce uronić początku lub końca fascynującego filmu.

Istnienie programu, którego celem jest informacja, kształtowanie opinii, popularyzacja wiedzy, wychowanie — uznajmy za pewnik. A żądania odbiorcy winny dotyczyć raczej jakości tego, co widzi na ekranie.

Program powyższy (który w ślad za nomenklaturą zawodową określamy programem PI) winien być przede wszystkim — potrzebny. Przykładem informacji zbędnych był chyba reportaż o Warszawie z którego telewidz dowiedział się, że w stolicy rano wstają, dostają mleko w butelkach, dozorcy zamiatają ulice, a potem wszyscy jadą do pracy zatłoczonymi tramwajami. Rzecz jasna, że tego rodzaju rewelacje, zwłaszcza wobec zapowiedzi, że będą one nadawane co 2 tygodnie, mogły wywołać zaniepokojenie odbiorców.

Program potrzebny winien z kolei odpowiadać wymaganiom, które spróbuję niżej sformułować.

Informacji udziela człowiek. Ale portret człowieka mówiącego nie jest chyba obrazem, odpowiadającym doniosłości wynalazku telewizji. Są wprawdzie postacie miłe widziane przez odbiorców i łatwo przekonywające o słuszności głoszonych tez. Jaką stanowią rzadkość — o tym najlepiej wiedzą telewidzowie!

Jednym z nienajmilszych doświadczeń odbiorców programu telewizyjnego bywa nadmiar tzw. „rozmów przed kamerą".

Telewizja góruje nad prasą i radiem możliwością stworzenia niemal bezpośredniego kontaktu z człowiekiem. Dlatego też te swoje właściwości winna wykorzystać, ale w uzasadnionych wypadkach: osoba występująca przed kamerą, o ile nie jest tą wyjątkową, telewizyjnie atrakcyjną, powinna budzić powszechne zainteresowanie. Mąż stanu, artysta, głośny naukowiec, wynalazca. Telewidza będzie tu interesowało zwykłe, ludzkie oblicze człowieka, będącego w pewnym sensie własnością publiczną.

Możemy dopuścić inną sytuację. Pokazujemy kogoś, kto zna jakiś wyjątkowy odcinek życia (badacz Mont Blanc), może to być nawet człowiek z gatunku ludzi „szarych", ale też obeznany z dziedziną mało komu dostępną: nurek, kucharz wielkiego hotelu, świadek głośnej katastrofy. W wypadkach takich usprawiedliwioną może być rozmowa, gdyż inteligentny rozmówca potrafi wyciągnąć szczegóły, interesujące ludków, a niedostrzegalne dla obeznanego, zżytego z tematem.

Wątpić zaś należy, czy rozmowy z typu rozmów ze strażakiem w Dzień Święta Strażaków z dyrektorem instytucji ABECE w miesiącu propagandy idei ABECE są uzasadnione interesem propagowanej idei, lub interesem odbiorcy. Bo telewizja może treść tych wypowiedzi p o k a z a ć w opracowaniu telewizyjnym, a tę samą rozmowę można nadać przez radio bez utraty żadnego z elementów istotnych dla tematu.

J. Kosiński w nr 10 „Dialogu" (w artykule „Co sądzić o telewizji?") wypowiada pogląd, że „dzisiejszy telewizor, to coś niby radio z okienkiem: głos z dodatkiem obrazu". Myślę jednak, że słuszność powyższego określenia w stosunku do niektórych programów oglądanych w dzisiejszym telewizorze nie musi wcale sprawdzić się na ekranie jutrzejszego telewizora. Właśnie obraz powinien stać się elementem głównym publicystyki telewizyjnej. I tu leży trudność przygotowania programu w tej dziedzinie.

Poglądy przedstawione niżej nie mogą być traktowane jako system lub recepta. To tylko próba przeglądu stosowanych w praktyce sposobów publicystyki telewizyjnej, próba wskazania kierunku, w jakim chyba pójdzie praca nad „utelewizyjnieniem" programu PI.

Jeżeli informację mówioną (z portretem mówiącego na wizji) przyjmiemy jako telewizję najbardziej prymitywną, to nieco wyższą jej formą byłoby ilustrowanie tekstu w taki sposób, w jaki to robi książka lub gazeta. To znaczy — jeżeli mówimy o Paryżu, pokazujemy wieżę Eiffla, natomiast portretem min. Rapackiego zilustrujemy wiadomość o debatach w ONZ. Telewizja idzie tu oczywiście dalej niż gazeta, bo może dać ilustrację z taśmy filmowej, a więc ożywioną. Co więcej — w telewizji słowa „tu", „to", „tak oto", zastąpią długie opisy niezbędne w druku, zastąpią ze znacznie większym pożytkiem dla przedmiotu i odbiorcy.

Dalszym awansem obrazu w telewizji będzie chyba sytuacja, w której przestaje on grać rolę czynnika pomocniczego, staje się częścią programu równorzędną słowu, a nawet eliminującą słowo. Można tu przeprowadzić analogię z historyjką rysunkową, w której różnice między kolejnymi rysunkami określają treść wydarzenia i słowo staje się zbędne. Oczywiście w telewizji bogactwo elementów ilustracyjnych wystąpi zamiast prymitywnych obrazków.

Jednakże to, co w dziedzinie publicystyki można by określić mianem prawdziwej telewizji, wygląda jeszcze inaczej.

Jeżeli zadaniem publicysty jest przekonać odbiorcę — to telewizja w odróżnieniu od innych środków oddziaływania dysponuje równocześnie co najmniej dwoma nurtami, którymi idzie myśl autora telewizyjnej publikacji i którymi atakuje on bierność lub nieprzystępność odbiorcy. Słowo i obraz mogą tu być dwiema siłami zbieżnie atakującymi umysł widza i słuchacza wielością „chwytów" i „pomysłów". Publicysta prasowy, a często i radiowy musi słowem wyrazić treść swoich tez i wniosków i jednocześnie musi we własne zdania wpleść efekty uboczne, stwarzające pożądany nastrój, przygotowujące czytelnika lub słuchacza do przyjęcia proponowanych tez, do przekonania.

W telewizji tę drugą rolę może że znacznie większym powodzeniem spełnić obraz. I znów, nie stwarzając recepty, spróbuję dać przykłady. Krytykując pogląd że podniesienie cen na psie skórki zlikwiduje plagę psów bezpańskich, można pokazać kilka bezradnych szczeniąt. Obraz stworzy stosunek uczuciowy do zagadnienia i tym zdecyduje o przyjęciu przez odbiorcę proponowanego poglądu.

Telewizja może szeroko operować symbolem. Obraz dwojga młodych ludzi na tle świateł semaforów i innych rekwizytów kolejowych może stworzyć nastrój pomocny w przeprowadzeniu tezy, że młodzi ludzie nie zdają sobie często sprawy, do czego wiedzie ich uczucie, jaki jest jego sens społeczny. Są jak pasażerowie, którzy nie dowiedzieli się o stacji docelowej pociągu, którym jadą.

W każdym z powyższych przykładów równolegle działanie wątku wyrażanego słowem oraz odpowiednio dobranego obrazu pozwala: 1) na skuteczniejsze trafienie do przekonania odbiorcy, 2) usprawiedliwia fakt patrzenia na ekran — faktem oglądania, a nie tylko słuchania, 3) świadczy o odrębności publicystyki telewizyjnej, gdyż taki sposób przygotowania programu jest możliwy tylko w telewizji.

Oczywiście rozważania w rodzaju powyższych mogą tylko wskazać na bardzo uproszczonych przykładach kierunek, w jakim opracowywanie programów PI może pójść — i chyba pójść powinno — a tematu zanewne nie wyczerpią nawet długie lata praktyki telewizyjnej.

Pan Telewizor radzi zobaczyć

w czwartek 19. XI. o godz. 20.05
„PASTYLKI NA KATAR" (TEATR KOBRA)
w piątek, 20. XI. o godz. 20.15
SONATĘ KREUTZEROWSKĄ
i w sobotę, 21. XI. o godz. 22.05
wodewil
„PAN TELESFOR WRACA Z URLOPU"

PROGRAM TYGODNIA

CZWARTEK

CZWARTEK, 19. XI.

17.00 Program dla dzieci 1) Zrobimy to sami (W). 2) „Miś z okienka" (W). 3) „Śladami wieków" (K). 17.45 Przerwa. 18.25 „Sprawy łódzkie" — felieton (Ł). 18.30 Łódzka Kronika Filmowa (Ł). 18.40 „Personel naziemny" z cyklu „O nich się nie mówi" T. Kurka i K. Lubelczyka (W). 19.10 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Polska Kronika Filmowa (W). 20.05 „Pastylki na katar" — teatr „Kobra" (W). 21.25 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK

PIĄTEK, 20. XI.

18.25 „Wszystkie dni tygodnia" (Ł. lok.) 18.55 Tele-Echo (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Film krótkometrażowy (Ł). 20.15 „Sonata Kreutzerowska" wg. Lwa Tołstoja (Katowice).

SOBOTA

SOBOTA, 21. XI.

16.00 „Pięciu z wyspy skarbów" film dla dzieci prod. ang. (W). 16.20 Program dla młodzieży — quiz pt. „Młodzi przyjaciele" (W). 17.50 Przerwa. 18.45 Program publicystyczny (Ł. lok.) 19.00 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 19.25 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Reklama (W). 20.00 Tele-Foto-Wystawa (W). 20.10 Program tygodnia (W). 20.20 „Sokół stepowy" film fab. prod. radz. od lat 14 (Panorama) (Ł). 22.00 Ostatnie wiadomości (W). 22.05 „Pan Telesfor wraca z urlopu" wodewil współczesny Jerzego Kleyny (W).

NIEDZIELA

NIEDZIELA, 22. XI.

14.00 „Niedzielna Biesiada" (W). 15.15 „Wesoły autobus" (Ł. ogólnp.) 16.00 Sprawozdanie sportowe z meczu koszykówki mężczyzn Polonia (W-wa) — Legia (W-wa) (W). 17.25 Program dla dzieci starszych „Magazyn" (Ł. ogólnp.) 18.25 Polska Kronika Filmowa (W). 18.35 „Twórcy muzycznego 15-lecia" rozmowa z Witoldem Rowickim (W). 19.00 Dziennik telewizyjny i magazyn aktualności (W). 19.45 Występ radzieckiej pary baletowej — Natalii Dudinskoj i Konstantego Sierglejewa (W). 20.05 Estrada muzyczna (Ł. ogólnp.) 20.20 „Ostatnie pięć minut" film fab. prod. włoskiej dozw. od lat 16 (Ł).

PONIEDZIAŁEK

PONIEDZIAŁEK 23. XI.

18.10 „Eureka" — magazyn pop. naukowy. 18.40 Kostiumologia. 18.55 „Wypadki drogowe" — reportaż telewizyjny. 19.30 Dziennik telewizyjny. 20.00 Estrada muzyczna: „Mieszanka filmowa". 20.15 „W krajach socjalizmu". 20.30 Teatr telewizji „Do niedzieli nie daleko" Barbary Witek-Swiniarskiej, reż. Konrad Swiniarski. 21.30 Ostatnie wiadomości.

ŚRODA

ŚRODA, 25. XI.

17.00 Program dla dzieci: 1) Miś z okienka". 2) „Podróż po świecie". 3) Klub młodego szachisty. 17.50 Program publicystyczny z Łodzi. 19.00 Nasz przyjaciel atom cz. IV „Izotopy i ty". 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.50 Telewizyjny kurier warszawski. 20.05 Tele-turniej. 20.30 „Dr Corda aresztowany" — film fabularny z Łodzi.